TATERNIK

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
ORGAN OFICJALNY SEKCJI TATERNICKIEJ A. Z. S. W KRAKOWIE
WYCHODZI SZEŚĆ RAZY DO ROKU

ROCZNIK XVII ZESZYT 3—4

TREŚĆ

*

KRAKÓW, LIPIEC 1933 R.

REDAGUJE PRZY WSPÓŁUDZIALE KOMITETU REDAKCYJNEGO
JAN ALFRED SZCZEPAŃSKI, KRAKÓW, UL. A. POTOCKIEGO 8
ADMINISTRACJA: KRAKÓW, ULICA A. POTOCKIEGO L. 4.
KONTO CZEKOWE SEKCJI TURYSTYCZNEJ P. T. T. NR. 409.570

NAKŁADEM SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOW. TATRZAŃSKIEGO

XXIV. WALNE ZGROMADZENIE CZŁONKÓW SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO odbędzie się dnia 13 sierpnia 1933 roku o godzinie 10-tej w lokalu Państw. Szkoły Przemysłu Drzewnego w Zakopanem.

Porządek obrad:

1. Odczytanie protokołu z XXIII. Walnego Zgromadzenia.
2. Sprawozdanie Zarządu.
3. Sprawozdanie Komisji Kontrolującej.
4. Preliminarz budżetu na r. 1934.
5. Wybór nowego Zarządu.
6. Wnioski i interpelacje.

W razie braku wymaganego kompletu następne Walne Zgromadzenie odbędzie się tegoż dnia w tem samem miejscu o godz. $10.^{45}$.

Nazajutrz odbędzie się tradycyjna wycieczka klubowa, przewidziana na dwa dni.

Za Zarząd Sekcji Turystycznej Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego:

Prezes:
Dr Kazimierz Piotrowski m. p.

Sekretarz:
inż. Jan Kiełpiński m. p.

T A T E R N I K

ROCZNIK XVII KRAKÓW, LIPIEC 1933 R. ZESZYT 3—4

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

ORGAN OFICJALNY SEKCJI TATERNICKIEJ A. Z. S. W KRAKOWIE

† WINCENTY BIRKENMAJER



»Tatry są moją »chorobą« psychiczną« — napisał kiedyś w liście do przyjaciela *). Rozumiemy to określenie: Znaczy ono poprostu, że Tatry wypełniały Mu w zupełności życie poza codziennym zawodem. Żył niemi nie tylko wówczas, gdy w nich przebywał, ale także zdaleka od nich, na ulicach miasta nizinnego. Żył niemi nie tylko w chwili wspinania się na skalne urwiska, ale także każdą chwilę, którą — w swym niesłychanie pracowitym żywocie — miał wyłącznie dla siebie, poświęcał myśli o Górach i pracy dla Gór. Zainteresowania Jego ogarniały całość wiedzy taternickiej; topografja Tatr i technika wspinaczki, sprzęt turystyczny i imiennictwo tatrzańskie, historja turystyki i „spiski" poszukiwaczy skarbów, fotografja górska i ideologja alpinizmu: każdy z tych tematów pociągał Go, każdy z nich zgłębił i poznał doskonale. Równocześnie opanował całość praktyki wysokogórskiej — i Tatry letnie, i Tatry zimowe, i Alpy. Wszędzie był jednym z pierwszych. Wszystkiego dokonał w nader krótkim okresie kilku lat.

Niezrównana »karjera«:taternicka Wincentego Birkenmajera tembardziej zadziwia, że toczyła się korytem równoległem do niezwykle intensywnej, z ogromnym nakładem zamiłowania i energji prowadzonej pracy zawodowej. Poznał bowiem Tatry dopiero pod koniec studjów uniwersyteckich, (ur. w Czernichowie, w 1899 r.) i wraz potem — jako nauczyciel literatury polskiej — przerzucony do dzielnicy wielkopolskiej, uczył kolejno w szkołach średnich w Inowrocławiu, Nakle nad Notecią, Rawiczu, powtórnie w Nakle i wreszcie w Poznaniu. Dalekim był od dość pospolitego typu nauczyciela, odrabiającego swoje lekcje bez pasji i stawiającego »dwóje« bez pardonu, a nie umiejącego i nie chcącego zbliżyć się do uczniów. Wręcz przeciwnie, kładł Birkenmajer główny nacisk, i najwięcej czasu poświęcał pracy wychowawczej.

*) Wszystkie cytaty pochodzą z listów Zmarłego do autora niniejszego wspomnienia.

Pochłaniała Mu ona ogromną ilość sił i czasu, prowadzona na terenie czytelni, bibljotek i teatrów szkolnych. Wśród tej pracy zdobywał sobie mir u uczniów, a często zadzierżgała się pomiędzy profesorem a uczniem przyjaźń, która trwała i poza czas szkolny ucznia. Zjawisko — każdy przyzna — nader rzadkie, dobrze oświetlające wartość pracy pedagogicznej Zmarłego.

. . . .

Tatry poznał Birkenmajer — jak już wspomnieliśmy — stosunkowo późno. Pierwsze wycieczki szczytowe (Giewont, Świnica, Rysy, Gierlach) odbył w roku 1924, oczywiście chadzał wówczas drogami łatwemi. Odrazu jednak padł na niego urok Gór. Toteż wkrótce potem złożył podanie (w jesieni 1924 r.) o przyjęcie do Sekcji Taternickiej A. Z. S. w Krakowie w charakterze członka-adepta. Był następnie jednym z najpilniejszych bywalców cotygodniowych zebrań dyskusyjnych i wycieczek treningowych w skałki podkrakowskie. Już wówczas był jednym z najlepszych znawców literatury tatrzańskiej, lecz wrodzona skromność i skrytość nie pozwalała Mu zdradzać się z tem przed szerszem audytorjum. Już wówczas na treningach okazał się jednym z najlepszych wspinaczy, ale taż sama skromność sprawiała, że program Jego wycieczek przewidywał powolne podwyższanie trudności, i jeszcze przed sezonem 1926 r. swe plany przejścia kilku dróg b. trudnych nazwał »bardzo ambitnemi«. Jakkolwiek plany te zrealizował (i w następstwie został członkiem zwyczajnym S. T. A. Z. S.) jakkolwiek zdobył pierwszą »nową drogę« (wejście na Wielką Buczynową Turnię od pn.), nie nabrał jednak zbytniego zaufania w swe siły i możności. Brał sobie bardzo do serca każdą mimochodem wypowiadaną krytykę ówczesnych towarzyszów wypraw, przyczem grała w tem dużą rolę ta skłonność, o której potem pisał: »Plagą życia jest mi... ciągła samoanaliza, która z biegiem lat stała się mi drugą, wiecznie czuwającą naturą...«.

W tym samym roku powstaje »Cyrla«, twór Wincentego Birkenmajera. Z dość przypadkowego towarzystwa wakacyjnego, zebranego w chałupie góralskiej, na Toporowej Cyrli, stapia się zespół miłośników Tatr, przez szereg lat potem spędzający razem sezony letnie — przeważnie w Górach. Pasja pedagogiczna Birkenmajera znajduje tutaj wspaniałe pole do działania. Wychowuje swych „Cyrlan" tatemicko na swoją modłę, pragnie stworzyć z nich zwarty klan, w rodzaju innych tego rodzaju, jakie istniały w taternictwie. Choć to usiłowanie nie wydało rezultatów, gdyż »Cyrla« jako całość nie odegrała w historji taternictwa zamierzonej roli, wyszedł z niej jednak jeden z najświetniejszych »szturmowców do Olimpu« — Kazimierz Kupczyk. Jest rzeczą bardzo znamienną, że okres pełnego rozkwitu »Cyrli« — lata 1927 i 1928 — znamionuje się zarazem zmniejszeniem ekspansji taternickiej Birkenmajera. On sam przypisał to »cyrlańskiej Kapui«.

Punktem zwrotnym staje się sezon letni 1929 roku — pierwsze drogi nadzwyczaj trudne, pierwsze problemy w wielkim stylu — pierwszy atak do zachodniej ściany Łomnicy. Na tej podbudowie powstaje fantastyczny plan Birkenmajera na lato 1930: plan dokonania 60 pierwszych wejść w ciągu 3 miesięcy. Nie został on wprawdzie całkowicie wypełniony (do czego w największej mierze przyczyniła się śmierć górska towarzysza i druha najserdeczniejszego, Kupczyka), lecz i to, czego dokonał Birkenmajer owego lata, nie ma sobie równego w dotychczasowej historji taternictwa. Wśród 36 pokonanych problemów*) znalazł się szereg najhonorniejszych z zachodnią ścianą Łomnicy na czele.

Czyn 1930 roku nie został zrozumiany tak, jak był pojęty przez autora. Chwalono nietylko Jego rekordy jakościowe ale i ilościowe, stawano do współzawodnictwa z Nim. Bardzo boleśnie odczuwał Birkenmajer przypisywane Mu chęci

*) Ogółem dokonał W. Birkenmajer 45 pierwszych wejść w Tatrach i Alpach.

współzawodnictwa, jako jednej z pobudek czynu, albowiem »współzawodnictwo dla współzawodnictwa« było mu wstrętne.

Pisał: »nie zamierzam walczyć ani o rozgłos, ani o pierwszeństwo przed innymi, ale chodzi mi wyłącznie o zmierzenie się oko w oko z trudnościami, o »pokonanie własnej niesprawności«. Wyjaśniał, że na pierwsze przejścia chodzi nie dla zdobycia ich jaknajwięcej, ale dlatego, że »zrobienie nowej drogi jest 10 razy więcej warte, niż którekolwiek powtórzenie. Jedynie tylko w rozwiązywaniu problemów znaleźć można jakieś nasycenie się obcowaniem ze skałą«.

Podsuwanie Mu innych pobudek niż te, któremi chciał się kierować rzeczywiście, tak dalece Go poruszyło, że powziął zamiar nie wyjeżdżania w Tatry w roku następnym. Nie chciał jednak bynajmniej wyrzec się Gór — snuł plany wyjazdu alpejskiego. Toteż z entuzjazmem przyjął propozycję udziału w wyprawie Sekcji Turystycznej P. T. T., której członkiem został w styczniu 1931 roku.

Lata 1931 r. i 1932 r. spędził w Alpach. Był współtwórcą sukcesów polskich taterników w grupie Pelvoux i Mont Blanc. Na tamtym terenie zapoznał się ze śniegiem i lodem, do których przedtem nie czuł pociągu (mówił nawet o antypatji swej do śnieżnej wspinaczki, a zimowe pobyty w Tatrach poświęcał narciarstwu, nie taternictwu). Ten stosunek do zimy zmienił się u Niego właśnie pod wpływem doświadczeń alpejskich, którym ulec muszą wszyscy prawdziwi taternicy, a nie li-tylko wspinacze. Konsekwencją najbliższą były plany na zimę 1932/33. Wybrał oczywiście przedsięwzięcie na miarę alpejską: wschodnie urwisko Ganku. Miał to być tylko szczebel w planach i zamiarach dalszych, sięgających w Egzotyk.

. . . .

Od wczesnej młodości zajmując się literaturą i pisarstwem, aczkolwiek niewiele tylko drukując*), musiał oczywiście Birkenmajer zająć się też tematami górskiemi.

Znają wszyscy jego utwory, ogłoszone w »Taterniku« w ostatnich dwóch latach: znakomite wspomnienie »Szklana góra«, oddające w fascynujący sposób niezwykłe dzieje stosunku człowieka do góry, dzieje będące na terenie Tatr unikatem — dalej dwie krótkie impresje, z których jedna (»18 lipca 1930«) wywołała w swoim czasie falę oburzenia wśród ludzi, przyzwyczajonych do chodzenia na koturnach. Kilka artykułów technicznych i polemicznych. To wszystko. (Pomijam oczywiście popularne artykuły w prasie). Próba oceny pisarstwa taternickiego Birkenmajera na podstawie utworów ogłoszonych byłaby przedwczesna, gdyż pozostawił on nader obfitą spuściznę rękopiśmienną, pisał bowiem o górach bardzo wiele. Pisał dla siebie. »Moja »literatura« jest w pierwszym rzędzie dla mnie samego. Ma być pochwyceniem przeżycia w momencie jego zanikania, przedłużeniem mu życia, odmłodzeniem go zapomocą tchnięcia weń nowych uczuć i myśli, które się przez ten czas narodziły. W ten sposób każde dawniejsze przeżycie wiąże się z każdem następnem w nierozerwalną całość, w organiczną tkankę, otrzymuje stałe miejsce w mojem dalszem życiu psychicznem«.

W ostatnich czasach jednak zerwał, zdaje się, ze swoją awersją do publikowania, bo zamierzał przygotować do druku książkę p. t. »Raptularz taternika«, która miała »odbronzowić« życie taterników. »Uważam, że niema tak »błahego«,

---

*) Przebywając do r. 1925 stale w Krakowie, brał udział w tutejszem życiu literackiem, mi i. redagując czasopismo „Wentylator", ogłaszając parę studjów krytycznych (o Kasprowiczu, Norwidzie, Przybyszewskim) oraz nieco wierszy i nowel po czasopismach i dziennikach. Wówczas też przełożył na język polski Rabindranatha Tagore „Dom i świat", wydane w r. 1926 w „Bibljotece Laureatów Nobla".

Jego prace literackie przyjął z uznaniem Stefan Żeromski w prywatnej korespondencji, a w recenzjach na łamach prasy prof. M. Szyjkowski.

a z drugiej strony tak dyskretnego tematu, aby nie można go było przedstawić w noweli. Życie wysokogórskie jest tak bogate w formy i odcienie, że »błagonadiożne« upraszczanie go w klasyczne formy à la Akademja Umiejętności jest grzechem nie do darowania«. Słowa te dobrze oddają charakter książki. Wydanie jej — mamy nadzieję, że zostanie ono doprowadzone do skutku — będzie jednym z najciekawszych ewenementów w literaturze taternickiej. A że poruszy i wzburzy światek taternicki — będzie to zgodne z zamiarem Autora, i w Jego stylu.

W kwestjach ideologji alpinistycznej był Birkenmajer »zdecydowanym zwolennikiem tolerancji poglądów i upodobań«. Był zwłaszcza przeciwny zasklepianiu się w pewnych ramach i nie dopuszczania do głosu nowych pojęć i haseł. »Nie można zwać dekadencją tego, co może być zwycięską awangardą. Chałubińszczyzna i karłowiczjada do dziś dnia spluwa z obrzydzeniem na widok naszej sportowości. A kto ma rację? W praktyce my, bo — w przeciwieństwie do nich — nie przestaliśmy jeszcze chodzić po górach. Ale w teorji nikt, bo i my postarzejemy się i wycofamy z kursu... Czyż dlatego, że obecnie jesteśmy u steru, nasz pogląd ma mieć monopol wartości objektywnej?«.

Na jednym punkcie był Zmarły nieustępliwy: w kwestjach ochrony przyrody. Należał do najzawziętszych jej bojowników i zwolenników. Występował na swym odcinku pracy w Towarzystwie Tatrzańskiem (jako członek zarządu Oddziału Poznańskiego) przeciwko budowie dalszych ścieżek i schronisk na terenie Tatr. Sam z niechęcią tylko przebywał w schronisku, przenosząc ponad nie biwakowanie w namiocie lub kolebach. Był też propagatorem rozbudowy koleb, zebrał wiadomości o wszystkich znanych już kolebach, wiele z nich odkrył sam lub urządził, a wyniki swych badań na tem polu ogłosił w »Taterniku«.

. . . .

Śmierć Wincentego Birkenmajera jest dla polskiego sportu wysokogórskiego najcięższym ciosem ostatnich lat. Zabrakło bowiem człowieka nietylko reprezentującego najwyższy poziom, ale także ogarniającego całokształt taternictwa i — co najważniejsze — znajdującego się w pełni sił i działalności. Jako czynny taternik był współzdobywcą rekordów, nie przewyższonych przez nikogo, lecz bynajmniej jeszcze nie wypowiedział ostatniego słowa i mamy prawo przypuszczać, że niejeden sukces najwyższej miary byłby się jeszcze stał Jego zdobyczą, a zarazem własnością polskiego taternictwa.

W jeszcze większej mierze odnosi się to do pisarskiej działalności Zmarłego: można powiedzieć, że znajdowała się ona dopiero w pierwszym okresie rozwoju, a okres ten zapowiadał rozrost nader bujny. Właśnie zaczął swe studja nad słownictwem turystycznem, nad imiennictwem tatrzańskiem i nad różnemi kwestjami historycznemi, właśnie zaczął zbierać materjały do projektowanego przewodnika rysunkowego, który miał zobrazować wszystkie ściany tatrzańskie, właśnie był w toku wykończenia wspomnianego »Raptularza«. Sądząc po tem, co już napisał i znając niezwykłą pracowitość Jego, Jego wykształcenie i zamiłowania literackie, wiemy, że straciliśmy także wybitnego, nader oryginalnego i płodnego pisarza taternickiego.

Zamknięty na siedem pieczęci dla nieznanych i obcych, otwierał się Birko (tak zwaliśmy Go w bliskiem gronie) całkowicie tylko dla najbliższych. Toteż wszyscy znali Jego rubaszność i koprolalję, nieliczni tylko Jego delikatną uczuciowość — wszyscy byli przekonani o Jego bezwzględnym racjonaliźmie, mało kto wiedział o Jego filantropji. A Jemu było z tem dobrze. Wodził rej na wesołych zgromadzeniach: któż z taterników nie pamięta Jego sławnych imienin w Roztoce w 1930 r. — tryskał dowcipem i radością życia, pierwszy do wypitki i do wybitki.

»Intensywność przedewszystkiem«. Oto Jego hasło. »Najdotkliwszy ból jest tyleż samo wart, co najgorętsza miłość, najbardziej żywiołowy śmiech lub najsilniejsze wstrząśnienie pod wpływem jakiegoś genialnego utworu muzycznego. To wszystko są przejawy witalizmu psychofizycznego, rozpędu i rozmachu, mogącego mieć w praktyce setki najsprzeczniejszych nawet uzewnętrznień«.

Realizacją tego witalizmu było całe życie taternickie Birkenmajera od chwili, gdy sobie uświadomił swe możliwości. Układał program maksymalny i wykonywał go bezwzględnie. Nie bez racji pisał »uważają mnie za maniaka już nie wytrwałości górskiej, ale wprost uporu, który raz wypracowawszy trasę i terminarz wycieczki, nie chce zważać na żadne mgły, lejby, zmęczenia, kaprysy ani pokusy«.

Dlatego znalazł się w zimie na wschodnich zerwach Ganku, dlatego nie cofnął się z nich mimo niepogody, dlatego przeprowadził do końca w myśl swego programu taternickiego — »męską, mocarną, zawziętą walkę z samym sobą«. Duch Jego zmusił niewytrenowane ciało do wysiłku ponad możność aktualną — słusznie powiedziano, że Wincenty Birkenmajer »zginął na posterunku swej woli«. I nie może być śmierć górska piękniejsza.

JAN K. DORAWSKI

ZE WSPOMNIEŃ WYSOKOGÓRSKICH

Dzięki uprzejmości pos. red. Alfreda Birkenmayera otrzymaliśmy do dyspozycji „Taternika" całą wysokogórską spuściznę jego brata, obejmującą ogromną ilość opisów literackich, wspomnień, notatek i t. p. Obecnie wyjmujemy z nich szereg krótszych fragmentów, mogących dać względnie najlepszy obraz rozpiętości odczuwań literackich i zainteresowań górskich Zmarłego. Wybieramy rzeczy drobniejsze tem chętniej, że, o ile nam wiadomo, projektowane jest książkowe wydanie większości jego prac górskich, w którem oczywiście w pierwszym rzędzie znalazłyby miejsce obszerne a nie ogłoszone dotychczas wspomnienia taternickie autora „Szklanej góry".

Zestawionych poniżej dziesięć fragmentów pochodzi z dwu tek, w których W. Birkenmajer gromadził swoje prace wysokogórskie, a które sam zatytułował „Mandara!" i „Raptularz taternika".

17-GODZINNY DZIEŃ PRACY *(fragment)*.

Ilekroć w pierwocinach mego taternictwa wypadł mi powrót przez Polski Grzebień, stale schodziłem Świstową. Drogi przez Kaczą nie znałem i jakoś dziwnie nie miałem do niej zaufania. Dziś wydaje mi się to paradoksem, niemniej jednak jest prawdą: na zejście tym szlakiem zdecydowałem się dopiero w siódmym roku chodzenia po Tatrach. Wspaniałego dnia lipcowego zbiegłszy z pod Zmarzłego nad Litworowy, oniemiałem z zachwytu. Po raz pierwszy w życiu przemówiła do mnie żywiołowa potęga i niesamowita dzikość Kaczej. Odtąd stałem się fanatycznym jej wielbicielem i nie omijam żadnej sposobności do zejścia tamtędy. Bo wszakże za każdym razem mogę ponownie przepatrzeć przepyszną rzeźbę zamykających ją ścian.

Słusznie zauważono, że jeden z etapów ewolucji taternictwa stanowi — dostrzeżenie szczegółów. To samo — jota w jotę — rzec można i o taternikach: każdy z nich przejść musi przez tę fazę otwierania się jego oczu. W miarę jak ustępuje dotychczasowa trwoga i mistyczny lęk przed tajemniczem, w miarę jak rośnie zaufanie do samego siebie i sportowa ambicja — odbywa się dziwny proces: możnaby rzec rzeźbiarski. Z nieforemnego tworzywa skalnego, którego

kształtów nie spamięta nowicjusz, nawet obdarzony wybitną pamięcią wzrokową, poczyna się zwolna wyłaniać geometrycznie wytoczona bryła. Na miejscu jednolitej gładkiej ściany pojawia się najprzód jeden i drugi żleb, przedtem niespostrzeżony, jedna i druga turnia, dotąd niespamiętana, jeden i drugi zachód, krechą przecinający ścianę, a mimo to niedostrzegalny oczom cepra. Potem — o dziwo! tu wyskoczy jakiś ząb skalny, tam zamigocą oślizłe mokre płyty, ówdzie werżnie się w ścianę czarny podcięty komin. Wzrok mimowoli przechodzi z formacji na formację, kojarzy jedną z drugą, przerzuca linję z trawnika na trawnik, z pod jednej przewieszki pod drugą. Stąd przeszedłbym tam — stamtąd tu — potem tędy. A jeżeli nie, to dalej na prawo. Tu będzie trudno — tam puści — ówdzie niemożliwość. Ale gdyby tylko osiągnąć tę oto platformę, reszta będzie bagatelką.

W ten sposób — sam nie wiedząc kiedy — pętak staje się odkrywcą nowych dróg. Narazie wzrokiem, ale na początek dobre i to. Świadczy to bowiem, że się wyzbył ceperskiego odurzenia górami i z jego oczu spadło bielmo. Będzie z niego jeszcze taternik!

Proces ten przechodziłem i ja. Nie w Kaczej, niestety, lecz — pożal się Boże! — na Kozich i Kościelcach. Niemniej jednak, skoro tak wpatrzę się w swoją taternicką ewolucję, etapy jej najlepiej uwypuklają się na przykładzie Kaczej.

Przedewszystkiem ten mur podniebnych granitów, jaki ją zapiera od zachodu, przestał być dla mnie jednolity. Rozpadł się na szereg odrębnych szczytów. Nazwy dotąd książkowe, sumiennie przyswojone sobie podczas wgryzania się w teksty, zatraciły swój szary werbalizm, przyoblekając się w jędrne ciało naocznie widzianych i świetnie spamiętanych masywów. Utrwaliły się na całe życie specyficzne wyobrażenia ich kształtów: szeroko rozsiadły, lecz dzięki ząbkowanemu grzbietowi wykwintny w linjach Żłobisty; dwoma filarami podparty, gładko skrzesany pod szczytem Rumanowy; żlebami głęboko poryty, kolosalną ścianą niemal do stawu sięgający, w trzy wierzchołki rozcięty — Ganek.......................

NIEPOROZUMIENIE.

Przez trzy godziny zrzędu szturmowałem pięciometrowy uskok pionowo skrzesanej grani Niebieskiej.

Nadaremnie. Ryzykując runięcie na jedną ze stron spadzistego uskoku, dźwigałem się — niemal wyłącznie na rękach — pod jego przewieszony cypel, usiłując ostatnim, najhazardowniejszym ruchem przeciągnąć się ponad jego krawędź.

Nadaremnie.

Wreszcie osłabłem. Uznałem, że mu jeszcze nie poradzę. Może jutro, może za rok, może nigdy. Lecz chcę mieć przynajmniej pamiątkę dzisiejszego trudu. Po krótkim odpoczynku powtarzam cały szturm ostatni raz przed odejściem — i na jedną sekundę zawisam na obolałych dłoniach. Tymczasem Włodek, usadowiwszy się na bocznej samotnej iglicy, spiesznie fotografuje mnie na tle bladego nieba.

W kilka miesięcy później odbitka tego zdjęcia wpada w ręce młodego cepra. Ten oczywiście okręca ją o 90^0, skutkiem czego moja pionowa pozycja zmienia się na poziomą. Ze zdziwieniem i zakłopotaniem — lecz i z odrobinką wzgardy — rozmówca zwraca się do mnie:

— A właściwie: — poco pan tak leży na *brzuchu* na tej *grani?*

ROZTARGNIENIE.

Koniec kwietnia. Najwyższy czas zdecydować, co z wakacjami. Termin wyjazdu naszej wyprawy w Alpy jeszcze nieustalony, ale wszystko przemawia za

drugą połową lipca i sierpniem. W takim razie na Tatry pozostaje pierwsza połowa lipca.

Dwa tygodnie, całe dwa tygodnie! Szmat czasu: — oczywiście w razie pogody. Bo jeśli będzie lało...?!

Wszystko jedno. Nie będę próżnował. Starym obyczajem spędzę je na jednej wielkiej włóczędze z doliny w dolinę — po najpiękniejszych i najdzikszych zakątkach Tatr — zdala od ludzi i schronisk. Każdego dnia (czternaście dni!!) wspinaczka skalna jakąś dziewiczą granią czy ścianą (czternaście nowych dróg!) każdej nocy (czternaście nocy!!) biwak w śpiworze pod stropem z głazów (czternaście nowych koleb!).

Od kilku dni jestem jak zwarjcwany. Opanowała mnie jedna wyłączna myśl: o wakacjach. Zaledwie złapię jaką wolną chwilę, natychmiast układam plan włóczęgi. Tu schowam nadmiar zapasów, tam zanocuję, stąd zrobię rekonesans, tu zostawię buty, tędy wrócę z wierzchołka, tam zbuduję kolebę, tą przełęczą przejdę do takiej a takiej doliny...

Nie marnuję drogiego czasu. Dzień mam do późnej godziny szczelnie wypełniony zawodową pracą nauczycielską — jedyny kwadrans do dyspozycji to jazda tramwajem na lekcje.

W kieszeni płaszcza stale przemieszkuje przewodnik. W tłoku, hałasie i zaduchu platformy, marzę, kombinuję, liczę. Naokoło mnie turnie, wicher, szum siklaw i woń kosodrzewiny. To nie łokieć brzuchatego współpasażera ugniata mnie w plecy — to dwudziestokilowy plecak i lina. To nie depce mi nikt po nogach — to kamyczek wleciał do buta, trzeba będzie przysiąść na głazie i wyjąć. To nie turkot zdezelowanego motoru — to lawina kamienna oberwała się z Baranich Turni i grzmiąc poleciała na piargi.

Właśnie zszedłem z Kołowego na Czarną Przełęcz, gdy raptem jakiś ktoś z torbą skórzaną przez ramię (Marusarz?), w płaszczu z zielonemi obszywkami (żandarm czeski?), z paczką biletów w ręce (konduktor tramwajowy?) wyrywa mnie z mej duchowej podróży pytaniem:

— Pan dokąd?

Płoszę się. Mimo wysiłku woli nie udaje mi się tak prędko przerzucić z jednego otoczenia w drugie. Jeszcze wyobraźnia z lotu ptaka rozważa plastyczną mapę Tatr, jeszcze myśl trzepoce nad krzesanicami i wiecznym śniegiem, jeszcze wzrok wpatruje się w kotły polodowcowe, zawalone złomami i piargiem... Z ust mych pada mimowolna, paradoksalna odpowiedź:

— Do Doliny Czarnej Jaworowej!

NAJNIEBEZPIECZNIEJSZA DROGA.

Doprawdy chce się wymiotować, słuchając tych wiecznych roztrząsań! Ile razy taternicy rozpoczną »teoretyczną« dyskusję o wysokogórskich »trudnościach«, uciekam, gdzie pieprz rośnie. Kwestja skali, przed wojną »bardzo trudnej«, potem »ausserowej«, dziś »skrajnej« — istny wąż morski, pyskiem łapiący się za podogonie — nudzi mnie już w sposób zdecydowany. A gdy jeszcze ktoś pocznie wywodzić swe poglądy na zależność oceny od ekspozycji, kruchości skały, subjektywnego i objektywnego niebezpieczeństwa...

Antek nie bierze tego wszystkiego tak tragicznie. Owszem: znakomicie to wszystko parodjuje! Pamiętam jaki szalony wybuch śmiechu wywołał pewnego razu, gdy rozkrzyczanych i rozgestykulowanych dysputantów, wodzących się za łby o »najniebezpieczniejsze« typy dróg, osadził niewinnie rzuconem powiedzonkiem:

— Mojem zdaniem: — najniebezpieczniejszym typem drogi tatrzańskiej jest ścieżka przez Koperszady!

— ??!!

— Bo tam się pasie ogromny byk — czatuje na turystów — raz mnie bestja napadł — rzuciłem plecak — wiałem ze dwa kilometry...

W BATYŻOWIECKIEJ.

Morze — morze głazów — — —

Potrzaskane kolosy Kończystych, rozsypane w miljony odprysków.

Leciały w dół przez tysiąclecia, z hukiem odwalane przez trzaskający mróz, przez zamarzłą w szczelinach wodę. Leciały wdół, strącane halnym wichrem i raciczką uciekającej kozicy. Leciały wdół, porywane ryczącą lawiną, strumieniem szalejącego śniegu i lodu.

Nastermały się na siebie, wklinowały w siebie: — większe pomiędzy mniejsze, mniejsze pomiędzy większe. Na dolną warstwę zwaliło się dziesięć górnych — na jeden poziom dziesięć nowych. Powstał jeden wielki nieogarnięty chaos. Kształty nasrożone i łagodne, plamy czerwone i żółte, perspektywy rozległe i raptem dwumetrowe. Martwa kamienna dżungla, niesamowita plątanina wykrotów, zgoła nieprzedeptanych ścieżynką ludzkiego celu.

Zdyszany skaczę z wanty na wantę. Jeszcze pięć susów i jeszcze dwadzieścia. Przestrzeń mnoży się po każdym z nich, narasta w potworną, skłębioną, nierozgryzioną gałę — niby włóknista sztuka mięsa, daremnie obracana językiem.

Pętam się już ze trzy kwadranse. Może mniej — może więcej — to tak trudno ocenić, będąc zaprzątniętym jedną jedyną myślą. A nią jest: dotrzeć do tego tam — ach jakże skąpego! — upłazka wpoprzek maliniaków, co niby fata morgana wisi przed moim wzrokiem — wciąż w jednakowej odległości.

Wtem: — zdumienie. Jedyne uczucie, do którego zdolny jest śmiertelnie znużony upałem, rozpaczą do głębi przejęty nieszczęśnik — gdyż bijące pałką pomiędzy oczy. Staję, jak wryty.

Przedemną — pod skośnym okapem niegościnnego głazu — mała, żałosna kolebka. Dno jej nierówne i kolące, jakimś podłużnym grzbietem głębiej zaklinowanej wanty wzdłuż przekątni trapezu rozcięte. Ani choć kępki podściółki, ani choć śladu ognia. Najbliższa kosówka o godzinę drogi: — za stawem.

Dziesięć kamieni, w nędzny murek skleconych od strony nawietrznej, jakże licho broniące przed wściekłością rozpętanych wichur: — oto jedyny luksus tego przybytku w pustyni. Dziesięć dziesięciokilowych kamieni, z trudem wydłubanych, gdzieś w nienajbliższej okolicy, jako że tutaj dokoła leżą same ogromne bałuchy. Nieudźwignięty dobrowolnie centnar granitu znojnie zwleczony przez spracowanego samotnika, walczącego o ledwie zaciszny kąt.

I nagle przenika mnie dreszcz. On, ten nieznajomy ktoś, niepoznany przed latami przyjaciel, w jakże gorszych był odemnie opałach! Zaskoczyła go tu noc lub wichura — a może jedno i drugie — w ciemnościach lub strumieniach deszczu — a może w jednem i drugiem — przeskakiwał — nie! —: śmigał w powietrzu po czubkach skrzyżali: — z wanty na wantę — z wanty na wantę — byle zdobyć coś nakształt zbawczego schronu.

Wybrał pod przymusem: co znalazł. W innych warunkach aniby nie spojrzał na potrzaskaną wnękę. A tak: jeszcze się pewnie cieszył!

Siekł go halny po twarzy, praskała w pysk dujawica, moczył go deszcz bezlitosny do ostatniej suchej nitki. A on pospiesznie uginał karku i grzbietu nad budową primitywnego murka, aby potem w skulonej i skręconej pozycji — z odleżynami od twardego kamienia na nogach, plecach, głowie — przedrzemać tutaj noc całą z otwartemi od błyskawic oczyma, z uszyma rozdartemi potwornym hukiem ustokrotnionych przez echo piorunów, wśród dreszczów i szczękania zę-

bów, z dłońmi podtulonemi pod kapiące wodą włosy, z osłabłym organizmem, nieposilonym ciepłą strawą.

Robi mi się nijako. Zagaduję własne zakłopotanie, usiłuję się śmiać. Sam nie wiem: z niego, czy z siebie. Wzrok mój niepewnie wpatruje się w przestrzeń. I jakoś kwaśno ruszam w dalszą wędrówkę, aby zagłuszyć natrętne refleksje: nową porcją zmęczenia, nudy i wściekłości.

PÓŁNOCNA ŚCIANA ŚWISTÓWKI (*scherzo*).

... Jak gdy zuchwały muzyk — w połowie swej świetnej symfonji — zwikławszy tonacje i kadencje — skłóciwszy instrumenty — zgubiwszy rytm i melodję — prowadzi słuchacza -- po bezdrożach rozstroju i chaosu — wprawiając go — w coraz większe zakłopotanie i zniecierpliwienie —

poczem — tuż tuż przed jego buntem — u progu jego rozpaczy — nagłym i nieoczekiwanym — a przecież wspaniale logicznym i nieodpartym — jedynym w świecie możliwym — pasażem — znowuż wypłynie na jasne wody — proporcji, wdzięku i harmonji —

wzniecając na jego ustach — półuśmiech maskowanego zaskoczenia — budząc na jego policzkach — dreszcz śmiertelnego podziwu —

w którym go umie utrzymać — przez cały mistrzowski finał — drgający delikatnem — bez wyrzutu — pośmiechiwaniem z jego uprzedniego zwątpienia — a zarazem jakąś przedziwnie ujmującą — pacholęco naiwną radością ze swego tak udanego żartu — i wogóle ze swego triumfalnego genjuszu —

tak — Kazik — uśmiechnął się do nas i do siebie —

gdy — wprowadziwszy nas zygzakiem — po listwach i rysach — na okrzesane skrzyżalami spaszty — poderwane stumetrowym uskokiem — a drugim takim nakryte —

i tak zaniepokoiwszy nas — beznadziejnością tej drogi — że już paść miało żądanie odwrotu —

nagle: — wąską, powietrzną, wskos się wznoszącą półeczką — doprowadził nas — do wyczutej przez siebie intuicją — choć oczom dotąd zasłoniętej rynny — która odcinkiem — prostym jak rzut spojrzenia — i łatwym nad wszelkie spodziewanie — w dziesięć polotnych minut — wywiodła nas wprost na wierzchołek.

WIERSZ NIEDOKOŃCZONY.

Na wschodnim filarze Ganku,
na wschodnim filarze Ganku,
mieliśmy ciężką robotę,
mieliśmy znojny dzień.

Zaczęliśmy o świcie,
gdy był w dolinie mrok
gdy był w dolinie cień,
a szarość na błękicie.

Zaczęliśmy robotę
gdy pierwsze strzały złote
bliskiego zwiastuny poranku
otuchą pojące wzrok

Kędyś przebiwszy się skrycie
zamigotały na szczycie

na długim turnic wianku
i wdół zbiegając wskok
W kaskadzie cudnych lśnień
stromy skąpały stok.

— — — — — — —

ZŁOWIESZCZY DZIEŃ *(fragmenty)*.

Pierwszy lipiec 1930. Jesteśmy z Kazikiem w Sławkowskiej. Nad bezimiennym stawkiem popas. Kazik »trzaska« zdjęcie Rogatej i Staroleśnej, ale że wykorzystać go się narazie nie da, schematycznie szkicuję cały masyw. Potem urządzamy pospieszną radę wojenną.

— Tu, gdzie się śnieg przerywa, wbijemy w krzesanicę zęby — tędy prawdopodobnie uda się łatwo przeszmuglować na ów wielki zachód — później nim kawałek w prawo. Ta rynna u jego końca wygląda przewieszona, ale może puści — potem tą śliczną krawędzią obu połaci wgórę.

Git. — ale nie wyleziemy na sam wierzchołek, tylko na kulminacyjną turniczkę! »No, to trzeba będzie trochę poszachrować i wejść na prawą połać«. Całość drogi? Jeżeli odrachować »kapitalną« ekspozycję, przypuszczalnie »nie truniejsza, niż trudna«.

Gnamy pod ścianę i po dwudziestu minutach włazimy w nią »z butami«. I oto okazuje się, jak omylne są sądy ludzkie. Zaraz na wstępie kruszyzna, godna Małej Buczynowej. Mimo największej uwagi z naszej strony — lecą mniejsze i większe kamyki, każdy chwyt wykrusza się w ręce. Czem wyżej, tem gorzej. Na małych, zdradliwie do calizny przyschniętych trawniczkach — całe magazyny »przewieszonego piargu«. Starczy tknąć go leciutko, a już spada istna lawina kamieni. Z potwornym hukiem porywa za sobą niższe złoża, oddzierając całe płaty i poduszki skłębionych, suchych, kołtunowatych traw. Wzbijające się z pod nich tumany kurzu wiercą nam w nosie i w oczach. Ksztusimy się do łez i kichamy, »jak z armaty« — co, mówiąc nawiasem, w danych okolicznościach nie należy bynajmniej do rzeczy bezpiecznych.

Teren staje się coraz bardziej zdradliwy i eksponowany. O asekuracji ani mowy. Każdy krok, każdy ruch, każde nieomal dotknięcie musi być dokładnie przemyślane i precyzyjnie wykonane — pod rygorem katastrofy. Bodaj że nawet głos tu trzeba ściszyć. Któż bowiem, jeżeli nie on, strącił ten głaz, co gwizdnął nam nad głowami? Skoczył jucha czterdzieści metrów w dół i trzasnął w piarżysko. Cały półmorgowy spłacheć usypisk ruszył nagle z miejsca i z ogłuszającym grzechotem zwalił się między śniegami w jakąś pieczarę lodową. Buchnął z niej niesamowity ryk podziemnego grzmotu, zaskowyczał przeciągle i skonał, rzężąc śmiertelnie.

Tymczasem jednak Kazik dobija do krótkiej rynny — stromej i ciasnej, lecz o zdrowej skale. Stojąc bez oparcia na lewej nodze, zzuwa but z prawej, potem odwrotnie. Spieszy się, gdyż sytuacja groźna. Asekurowani jesteśmy z za ruchomego bloku, wspartego na podwieszonym trawniczku, osuwającym się — wraz ze mną — z minuty na minutę.

Nie patrzę pod nogi, cały zamieniony w słuch. Delikatne szelesty pękających mi pod stopami korzonków suchej trawy, zjeżają mi włosy na głowie. Uświadamiam sobie, że teraz, to już wyścig o sekundy.

Na szczęście tam na górze rozlega się brzęk haka, wbijanego w skalną półkę na prawo od rynny, już opuszczonej przez Kazika i gotowej na moje przyjęcie. Instaluję się w niej skwapliwie. Z niewypowiedzianą rozkoszą zapieram się plecami o twardy granit.

Kazik trawersuje w prawo i cudownie przechodzi pionową, potężnie eksponowaną ściankę. Ale nie mnie nabierać na takie kawały. Już ja z tego sapania, zwanego przezeń »miernikiem trudności«, dobrze wiem, co o tem sądzić: — »nadzwyczaj«!!

Wyjmuję jego buty z rysy, w którą je wkleszczył z braku miejsca na postawienie, zzuwam i swoje, poczem obie pary wkładam do plecaka. Paskudnie ciężki — ani mowy, aby z nim robić tę ściankę! Kazik zrzuca więc zapasową linkę i winduje na niej cały bagaż wgórę — oczywiście strącając wprost na mnie całą porcję kamieni. Ale jakoś nie trafia mnie żaden.

Mijam poprzerywaną listwę — by tknąć nosem odpychającej ścianki. Psia kość słoniowa! — tu trzeba mieć dowcip w palcach! Natychmiast przypomina mi się jej sobowtórka na wschodniej ścianie Pośredniej. Skupiam się więc w sobie i dźwigam na rękach pół metra wzwyż.

Raptem zawraca mi się w głowie i ślepnę na prawe oko. Po twarzy spływa mi ciurkiem coś ciepłego — wprost do kącika półrozwartych warg. Rozpoznaję smakiem: krew. Błyska myśl: dostałem kamieniem w łeb.

Miał mnie też kiedy wyrżnąć! Ani przetrzeć oka, bo ręce z całem natężeniem wpijają się w szczelinki skalne — ani opuścić się na półeczkę, bo liny wolnej niema ani decymetra — ani wołać o nią do Kazika, bo usta już pełne krwi. Przekrzywiam więc głowę na bok, wypluwam własną posokę i sygnalizuję. Głos mój odbija się od ścianki, zresztą poziomo załamana krawędź utrudnia porozumienie akustyczne. Drżę, że Kazik opacznie pojmie moje krzyki i podciągnie linę — strącając mnie z mych, już i tak mizernych, chwycików. Ale na szczęście naddaje mi potrzebną ilość liny, dzięki czemu — po omacku i na śmiertelnie zmęczonych rękach — wracam na listwę, a z niej do rynny.

Tamowanie krwi zupełnie bezskuteczne. Kazik spuszcza mi zapasową linkę z misternie przymocowanym kawałkiem plastra. Oczywiście transport ten strąca nową lawinę kamieni. Stoję — chcąc nie chcąc — pod ogniem ich obstrzału. Szczególna rzecz: w takich momentach zawsze przychodzą mi do głowy najkomiczniejsze myśli. Oto, jeżeli mnie który z nich trafi, trzeba będzie nowego plastra — wskutek jego transportu zleci nowa lawina itd., *da capo al fine.* Będzie... *perpetuum mobile.*

Na szczęście do tego nie dochodzi. Ponawiam atak bez wypadku i wkrótce staję przy Kaziku. Ruszamy wgórę. Przebywamy odcinek po odcinku. Ściana poczyna się nam coraz więcej podobać. Po trzech godzinach pobytu w »skale« osiągamy programowo przewidzianą rynnę.

Tu nowa niespodzianka: rynna jest wprawdzie bardzo stroma, lecz bynajmniej nie przewieszona! Tkwią w niej za to wklinowane bloki. Jeden z nich — po tradycji! — nawet bezczelnie zwala się na mnie, ale i ja — starym obyczajem! — podtrzymuję go chwilę, równocześnie wyłażąc rozkrokiem na boczne ścianki, aby przepuścić go pod sobą. Co to za rozkosz patrzeć między kolanami, jak daje susa na piargi i słuchać poza sobą, jak z hukiem pękającego granatu roztrzaskuje się na okruchy. A potem z grandezzą wklinować się na jego miejsce i zapieraczką »przejechać« przez rynnę!

Ponowny zawód. Krawędź obu połaci okazuje się ceperska. Idziemy nią — w butach — obaj równocześnie. W krótkim czasie stajemy na szczycie.

Rzucamy okiem na Garłuch — cel jednej z najbliższych wypraw. Chcemy dokładniej obejrzeć jego wschodnią ścianę. Niestety, gęste kłębiące się mgły przesłaniają go co chwilę. Zapełniają też całe dno Sławkowskiej. I oto oczom naszym ukazuje się — wspaniałe w swym ogromie, lecz dreszczem przejmujące w swej tajemniczości — wysokogórskie *mamidło.*

Stoimy nieruchomo, obserwując je w milczeniu. Przykuci doń wzrokiem, poddajemy się jego dziwnej nieodpartej sugestji. Kilkakroć, pragnąc racjonalistycznie zapanować nad wrażeniem i zabobonem, podejmujemy doświadczenia optyczne. Poruszamy głową i rękoma, wstajemy i przysiadamy — a ono w grobowej ciszy pedantycznie powtarza każdy nasz ruch. Wreszcie z powiewem wiatru rozpływa się w niemej nicości.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Ostatni lipiec. W trójkę, — bo ze spotkanym tu Wieśkiem — leżymy na łóżkach w »Trupiarni«, rozmawiając o wszystkiem możliwem — a właściwie o jednem, wciąż w Górach najbardziej możliwem: o śmierci.

— Podobno — rzuca Wiesiek — *mamidło* ma wróżyć katastrofę.

— No — śmieje się Kazik — gdyby miało być tyle katastrof, ile razy ono się ukazuje...

— Nie każde ukazanie się jest wróżebne. Katastrofa przychodzi z reguły między drugiem a trzeciem ujrzeniem *mamidła.* Ja naprzykład — zakpił — jestem bezpieczny, bo widziałem je już trzy razy!

— W takim razie ja — wtrąciłem — mam jeszcze do śmierci przynajmniej osiem lat, bo tyle właśnie chodzę po górach, a dopiero raz mi się pokazało.

Wiesiek wybucha śmiechem: — Ten ma zawsze wice!

Ale Kazik jak gdyby trochę spoważniał i rzekł jakoś powoli i ciszej, choć nie bez przekornej wesołości:

— A ja widziałem je dwa razy: kilka lat temu na Świstówce, i tego roku na Rogatej...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

GRANIASTA.

— Idziesz z nami na Ostry?

— Nie. Tego roku nie chodzę na powtórzenia.

— Wolisz zostać w schronisku?

— Cóż znowu! Pójdę gdzieś samotnie.

— W takim razie dowidzenia...

— Owszem, dowidzenia — *na bambusie.*

Śmiejemy się łobuzersko, kiwając sobie dłońmi na pożegnanie. Zniknęli. Kończę drzemkę, ubieram się, piję herbatę. Ruszam własną drogą, na przełaj pomiędzy stawami.

Cel — wytknięty jasno. Łańcuch kominów spada z przełęczy na piargi. Forsuję dolny, paskudnie mokry, ze skutkiem. Nad trawnikiem trzy nowe, włażę w najbardziej prawy, ale się »zatykam«. Włażę w drugi — też. Powrót z każdego z nich na trawnik cholernie trudny, ale nieunikniony dla nabrania sił. Jestem uparty. Atakuję trzeci raz. Dźwigam się na przewieszkę, ale nie mogę sięgnąć do następnego chwytu — brak mi trzech centymetrów. Ryzykuję bez asekuracji — niech się dzieje co chce! Rozpieram się kolanami i wyrzucam tułów naprzód. Chwyt pęka, pęd wyrzutu zakręca mną i wylatuję z rynny do połowy. Ale zatrzymuję się nad urwiskiem — dłońmi, zdartemi do krwi.

Psia wiara! Ja to muszę zrobić! mozolę się tak długo, aż osiągam skutek. »Na złość problemowi« dorabiam inne warjanty i wychodzę na przełęcz.

Z »Trupiarni« rozlegają się przeciągłe nawoływania. Raz, drugi, dziesiąty. Biorę to za objawy temperamentu ceprów, więc z niesmakiem coprędzej uchodzę w Rówienki — gdzie spędzam cały dzień.

Ach, gdybym wiedział, że to *mnie* wołano wówczas donośnie — i że wołano *na pomoc*!.. Ach, gdybym wiedział, że w tymże samym momencie, kiedy mi pękał chwyt, mój druh na Ostrym głową w dół leciał na piargi. Ach, gdybym to był wiedział!!!...

GLOSSA.

Dwie sprawy, napozór odległe od siebie, dręczyły mnie czas dłuższy w jesieni 1930 r., gdym w myślach przechodził krytycznie dzieje swej trzymiesięcznej działalności w górach.

Jedna: — to problem, dlaczego tak upragnione, z takim nakładem sił przygotowane, tak dramatyczne zdobycie Szklanej Góry, tak małą sprawiło mi radość a nawet, mówiąc otwarcie, pozostawiło po sobie tak dziwny smutek.

Druga: — to szybka, rozgłośna, tragiczna karjera taternicka Kazika, który zabłysnął jak meteor — i zgasł w chwili największej świetności.

Aż jednym rzutem myśli połączył mi obie sprawy i wyjaśnił — Norwid. Ta śliczna, tak zwięzła, a tak olbrzymie horyzonty rozwijająca część VI jego arcypoematu p. t. »Fortepian Szopena«:

»...Piętnem globu tego — niedostatek;
dopełnienie — go boli;
on — rozpoczynać woli
i woli — wciąż wyrzucać przed siebie zadatek.
Kłos? — gdy dojrzał, jak złoty kometa,
ledwie-że go wiew ruszy:
deszcz pszenicznych ziarn prószy,
sama go doskonałość rozmieta!..«

WINCENTY BIRKENMAJER

MYŚLI, UWAGI, FRAGMENTY ARTYKUŁÓW

CZAS (fragment wspomnienia)

Nie można, jako żywo, zaprzeczyć, że w taternictwie *czas* odgrywa poważną rolę. Nim, jako jednym z oficjalnych współczynników, mierzy się wielkość wyczynu i sprawności zarówno przy pierwszem przejściu, jak przy powtórzeniach — od niego uzależnia się możność zdążenia z miejsca na miejsce, a więc wogóle możność podjęcia tego czy owego zamierzenia — jego ułamki, zależne od pory dnia i roku, mgły, chmur i słońca, rozstrzygają o dobroci zdjęć fotograficznych, tak silnie przecież potęgujących nasz entuzjazm dla Gór i ich znajomość — z jego biegiem, niestety, starzejemy się, nasza czynna, aktualna postawa wobec gór niepostrzeżenie zamienia się na bierną, retrospektywną, kontemplacyjną — w jego wreszcie nawrotach nastają, panują i przemijają wielkie ery naszego wysokogórstwa: alchemiczna Chrościńskiego, zbójnicka Janosikowa, geologiczna Staszica, krajoznawcza Pola, odkrywcza Chałubińskiego, homerycka Tetmajerowa, estetyzująca Karłowiczowska, pedantyczna Chmielowskiego i boiskowa nasza.

Aż strach pomyśleć, że za każdem okrążeniem wskazówki godzinowej coś się zmieniło w stosunkach tatrzańskich. Tu pada jakiś „ostatni" problem, tam spostrzeżono dwa nowe, tu zabił się jakiś as, tam pojawiło się czterech nowych, tu przezwyciężono w dyskusji jakiś przebrzmiały „przedpotopowy" pogląd, ówdzie na jego miejsce wymyślono osiem nowych..,

PERSWAZJE (fragment artykułu polemicznego)

1) Destrukcyjnym momentem jest jedynie *współzawodnictwo o rozgłos*. Jest to bowiem ordynarny snobizm. Natomiast *współzawodnictwo o zewnętrzne i wewnętrzne przeżycie*, związane z pierwszemi przejściami — i tylko podczas nich możliwe — nietylko nie jest niczem zdrożnem — ale stanowi poprostu jeden z najwspanialszych przejawów „woli potęgi", „głodu samopoczucia" — jeden z najbardziej kulturalnych zabiegów nowoczesnego (demokratycznego!) człowieka, o jego kardynalne prawo do wszechstronnego rozwoju psychicznego. To nie żaden *egoizm*, zazdrość, brudna konkurencja — to wspaniały przebłysk *egotyzmu*, zdrowia i wielkości duszy.

2) I jeżeli tak pojmiemy współzawodnictwo, to nietylko że nie będzie żadnej dysproporcji między nim a majestatem Gór, ale właśnie nastanie między niemi najwspanialsza kongruencja i harmonja.

3) Są dwa rodzaje ambicji: *relatywna* — wobec innych — i *absolutna* — wobec samego siebie. O ile pierwsza z nich istotnie jest w taternictwie (i nietylko w taternictwie) nieetyczna — o tyle druga jest zjawiskiem jaknajbardziej dodatniem. Wszak ona jest motorem wysiłku istotnie uszlachetniającego — bo każącego człowiekowi zwalczać nie innych — i nawet nie teren — ale właśnie samego siebie.

GRANIT (notatka)

Granit, jest to skała magnetyczna głębna, t. zn. zakrzepła pod powierzchnią ziemi.

Granit w stanie jeszcze plastycznym uległ potężnym parciom górotwórczym, wypychającym go, jak wrzód potworny, nad wzdęty brzuch ziemi poprzez rozpękłe fałdy skórne zgnuśniałych warstw osadowych.

Granit jest to mieszanina skalenia, miki i krzemionki, w zależności od ilościowego i jakościowego ich doboru mniej lub więcej czarna lub czerwona, mniej lub więcej twarda i oporna, lub krucha i wietrzejąca.

Granit, poddany wpływom atmosferycznym erozji, rozkłada się, dając — hen gdzieś na dalekich nizinach — wyborowe glinki i najżyźniejsze iły.

Granit jest to materjał zasadniczy w trzonie krystalicznym Tatr. Z jego przedwiecznych płaszczowin, obalonych ku północy, przesuniętych po sobie i za siebie, powstały kolosy Gierlachu, Łomnicy, Lodowego i Mięguszowieckich.

Granit zachwyca swemi kontrastami: poszarpaną linją grzbietu i miękkością form dolinnych; nagością turni i bujnem poszyciem hal.

Granit jest tworzywem mych poematów wysokogórskich. Dotknięcie jego nieda się z niczem porównać. Posiada moc i potęgę pioruna, zamkniętego w bryle szkła.

NAWRÓT CHAŁUBIŃSZCZYZNY (szkic artykulu)

Donośnie przed wojną — a częściowo i po niej — rozbrzmiewające hasło udostępnienia Tatr szerokim rzeszom turystów — przeżyło się. Nikt dziś nie wysuwa projektu nowych ścieżek na szczyty, znakowania ich, wbijania klamer, rozpinania łańcuchów i t. p. Co więcej: nietylko pohamowano się w zapale pomnażania ilości schronisk — ale rozpoczął się regularny bojkot schronisk już istniejących.

Poszukując przyczyn tego dziwnego fenomenu, natkniemy się przedewszystkiem na grupę czynników p s y c h o l o g i c z n y c h. Schroniska — to sobie trzeba powiedzieć otwarcie — są dziś bezwzględnie opanowane przez ceprów. Taternik jest tam jedynie tolerowanym intruzem.

Czy mu z tem źle? Zapewne niejeden drażliwszy czuje się dotknięty na honorze. Ale inni — z tych czy owych powodów — machnęli ręką. Nawet wolą nie pchać się na oczy ceprom, oglądającym ich w schronisku z mieszaniną sensacji, politowania i estetycznego

obrzydzenia. A z drugiej strony wolą trzymać się jaknajdalej od tych ohydnych śmietnisk, jakiemi właśnie są z reguły schroniska wraz z ich najbliższem otoczeniem.

Do walnego obniżenia wartości schronisk przyczyniła się też niewątpliwie wspaniała idea ochrony przyrody, jaka głębokie zapuściła korzenie w duszach ogromnych rzesz taterników. Cokolwiek który z nich obiecywałby sobie po założeniu Parku Narodowego i jakkolwiekby się do niego ustosunkowywał pod względem sportowym — jedno jest pewne: że ogromna większość życzy sobie spiesznej likwidacji obecnego bezhołowia, a raczej obecnej złotej wolności ceprów.

Dalszym czynnikiem psychologicznym jest niebywale wzmożone zaufanie taternika do samego siebie. Dzisiaj — w epoce wszechwładnego rozwoju idei wychowania fizycznego, któremu służą wśród młodzieży dziesiątki organizacyj od harcerstwa do przysposobienia wojskowego — nabrano hartu ducha. Gromadka moich dwunastoletnich uczniaków spędza tydzień pod własnej roboty szałasem w głębi Tucholskiej Puszczy — zupełnie nie uważając tego za jakiś powód do sławy. Nieco starsi od nich koledzy przebywają 6 tygodni pod namiotami w obozie wakacyjnym koło Zaleszczyk — i uważają to za rzecz najzupełniej naturalną. My w ich wieku baliśmy się może jeszcze wchodzić do ciemnego pokoju — a już w każdym razie iść pustą drogą podczas godziny duchów. *(Dodać: dawniejsi turyści ufali nie sobie samym, lecz góralom).*


W. Birkenmajer przy budowie koleby w Dolinie Jastrzębiej (fot. Dorawski).

Szeroko zagranicą rozpowszechniony zwyczaj spędzania sobotniego popołudnia i całej niedzieli na łonie natury (*week-end, Wochenende*) przyczynił się do bujnego rozkwitu życia włóczęgowego (*campingu).* Tkwiące w nim pierwiastki estetyczne dodają mu specyficznego smaku — jakbyśmy na naszym gruncie i po tatemicku powiedzieli — „Karłowiczowstwa". Niemniej jednak hołduje mu w Tatrach wielu turystów, t. zw. popularnie źgaców — z tego czy innego powodu nie mogących czy nie chcących przedsiębrać ciężkich tur wspinaczkowych. Wszyscy oni przeważnie unikają rozgwaru i brudu schronisk, spędzając swe dni wolne w nieuczęszczanych zakątkach leśnych i skalnych, nocując gdzie się da. (*Wprowadzić motyw wynagrodzenia sobie za suchość opisu. Rozróżnić źgaców od wspinaczy*).

Wygrywają w ten sposób ważny atut, należący już do fizycznych motywów bojkotowania schronisk. Otóż powyższy system nieschodzenia na noc z dziennych wysoczyzn do nisko zazwyczaj leżącego schroniska, przynosi im znakomitą oszczędność sił i czasu, a co zatem idzie, i zapasów. Z tem zaś — *last not least* — łączy się jeszcze jeden czynnik: chroniczny brak pieniędzy u lwiej części młodych taterników, sprawiający, że schroniska, z ich drożyzną, są dla nich niedostępne — a stąd podwójnie obrzydłe.

Idźmy dalej. Owa — jak się trafnie wyrażono — „coraz powszechniejsza skłonność do pozaschroniskowego bytowania w Tatrach", wywołana jest (ale i uwarunkowana) jeszcze dwu dalszemi czynnikami: hartem fizycznym obecnego pokolenia, oraz posiadaniem odpowiednich urządzeń, zabezpieczających turystę przed niespodziankami ze strony tak kapryśnej tatrzańskiej przyrody.

Pierwszy z tych czynników — idący zresztą w parze z omówionym powyżej wzrostem psychicznego samozaufania, a raczej będący jednym z jego powodów — jest właściwie jednym z przejawów tego samego, co w dziedzinie wspinactwa nazywa się „postępem technicznym". Drugi natomiast — będący produktem przemyślności i nakładu pracy ze strony turysty — rozszczepia się na dwa kierunki, zresztą idące przeważnie ręka w rękę: nowy i odrodzony. Wykładnikiem pierwszego z nich jest worek do spania (i namiot), drugiego: — koleba. . . . .

REKORD POJEMNOŚCI (fragment listu otwartego)

. . . powziąłem paradoksalny zamiar poświęcenia rekordyzmowi jednej z nowel. Co mi tam! I to rekordyzmowi, jakiego mi coprawda nie zarzucano, ale który jest niejako sumą, koroną wszystkich tych, jakie we mnie wparto: rekordyzmowi „pojemności".

O tak! Tego „grzechu" bynajmniej się nie zapieram i nie pójdę zań do Kanossy! Ilość rzetelnie przepracowanych kilowatgodzin skalnych jest moją najwyższą rozkoszą. Duszę moją przegryzło do rdzenia desperackie nienasycenie się ryzykiem, tajemnicą, czarem poszarpanych konturów, mgłą, ekspozycją, wichurą, ciężarem butów i worka, deszczem, oślepiającem lśnieniem śniegu, powietrznością, dźwiękiem wbijanych haków, puszystością traw, szmerem liny, wonią porostów, nadzieją zwycięstwa, szumem siklawic, napięciem mięśni, pospiesznem jedzeniem, wypatrzeniem oczu, lękiem przed śmiercią — lecz nadewszystko nienasycenie się dotknięciem skały, czarodziejskiego tatrzańskiego granitu, ukochanego nad wszystko tworzywa świetlistych wzruszeń i przeżyć.

Taki rekordyzm, takie pogańskie upojenie się zarówno prawieczną materją z jej wszystkiemi zmysłowemi przejawami — jak zarazem siłą, bijącą z niej niby potężny grający w duszy ludzkiej nurt żywiołów, takie zapamiętywanie się do ostatniego tchu pośród wytężających niemal ponad ludzką wytrzymałość tur wysokogórskich, takie zwycięstwo zawziętej woli i płomiennego uczucia nad słabością człowieczego ciała i ducha, nad złowrogiemi zasadzkami terenu i klimatu, takie dopiero wydźwignięcie się ponad samego siebie cenię i wielbię bezkreśnie . . . .

WINCENTY BIRKENMAJER

† LUDWIK CHAŁUBIŃSKI

»*Wybieram się na parę dni z synem moim; nawiasem mówiąc nie radzę ci z nim chodzić na wycieczki, jeśli nie jesteś wypróbowanym taternikiem pierwszej wody*« — temi słowy, w 1879 r., przedstawił Tytus Chałubiński swego młodego syna (ur. w Warszawie, w dniu 2 sierpnia 1860 r.) ogółowi turystów polskich. A teraz inny moment, jubileuszowe zebranie członków STPTT w Zakopanem, w dniu 15 sierpnia 1928 r.: Ludwik Chałubiński, z zawodu inż.-chemik, zostaje jednomyślnie mianowany członkiem honorowym Sekcji. Starzec, nie może już wziąć osobiście udziału w jubileuszowym obchodzie. Zapadły w swym głuchym »Domu Chałubińskiego«, przy ulicy noszącej to samo imię — w ciszy i zapomnieniu przeżywa ostatnie lata swego życia, »obcy i nieznany« współczesnym pokoleniom górskim.

Nieco wcześniej, w styczniu 1928 r., Mieczysław Świerz odszukał starca w jego samotni, i długo z nim mówił o górach. Powstał z tej rozmowy piękny artykuł »Zdobywca Mięguszowieckiego Szczytu«, ogłoszony w »Taterniku« z 1928 r., str. 1-7, a podający wszystkie, przez starego taternika spamiętane szczegóły jego wycieczek. Przypomniano zatem, że Ludwik Chałubiński, już gdy miał lat 14 (1874) rozpoczął swoje taternictwo, i że już w tych czasach odbył pod komendą



LA MEIJE OD POŁUDNIA



GRANDES JORASSES OD PÓŁNOCY

ojca takie, na owe czasy wybitne wyprawy jak I. turystyczne przejście Koziej Przełęczy, XII stwierdzone wejście na Gierlach i VII wejście na Lodowy Szczyt; przypomniano, że nieco później zdobył takie sukcesy jak I. w. na Hińczową Przełęcz od Morskiego Oka i I. w. na Mięguszowiecki Szczyt (1877), II. prz. Czarnej Przełęczy i II. w. na Kołowy Szczyt (1878), III. w. na Durny Szczyt (1881), I. w. na Hińczową Przełęcz z Dol. Piarżystej przez pd.-zach. grań Cubryny (1884), I. w. na Młynarza (ok. 1885)...; przypomniano wreszcie, że w 1885 r. wszedł również na Grossglocknera i na Aletschhorn, stając tem samem w rzędzie pierwszych chronologicznie alpinistów polskich.

Zanotowano także jego bystre uwagi o pobudkach własnej turystyki: »momentach piękna widokowego«, »popędzie poznawczym«, a wreszcie: »pragnieniu szukania trudności«. Na podstawie tych słów, inny historyk Tatr w następujący sposób scharakteryzował syntetycznie turystykę Ludwika Chałubińskiego:[1]) »miał on już pełną świadomość celu swoich wypraw tatrzańskich, umiał wyszukiwać i rozwiązywać problemy taternickie, w zakresie zaś techniki wspinania się potrafił z siebie i przewodników swoich wydobyć to maksimum sprawności, jakie w czasach, zanim taternictwo stało się umiejętnością, dało się wogóle osiągnąć«.

Był Ludwik Chałubiński synem człowieka zamożnego i głośnego w całej Polsce, własne studja ukończył z odznaczeniem, a taternictwo swoje nieomal rozpoczął od zdobycia najwspanialszego szczytu polskich Tatr, a tem samem wykonania wyprawy »w owych latach nie mającej sobie równej w taternictwie«, i daleko przewyższającej wycieczki jego ojca. Ale już wkrótce schwyciła go w swoje tryby troska o byt codzienny — przytłoczyła go też tatrzańska sława ojcowska — a ułatwił osamotnienie dziedziczny wstręt do pióra. Psychicznie obcy światu góralszczyzny, osiedlił się jednak Ludwik Chałubiński na stałe w Zakopanem i żył — u stóp pomnika Tytusa Chałubińskiego — jako symbol dawno zamarłej epoki. Minął się, aż gdy zmarł w dniu 21 kwietnia 1933 roku, złożono go na zakopiańskim cmentarzu w posępnem i pokornem opuszczeniu — o tym samym czasie, gdy manifestacyjnie odprowadzano na śmiertelny spoczynek innego człowieka gór, najbardziej nowoczesnego, sportowego ich zdobywcę. Gorzki patos losu oznaczył te dwa tak odmienne pogrzeby, szyderczą równoczesnością czasu. Ale my, z oddalenia tego samego wszechwyrównującego czasu wiemy, że długa i owocna — choć nosząca w sobie piętno tragicznego psychicznego załamania — działalność tatrzańska zmarłego, jest również jednym z etapów taternickiej »drogi do wielkości«.

J. A. SZCZ.

DOKOŁA ŚMIERTELNEJ WYPRAWY
WINCENTEGO BIRKENMAJERA

I. RELACJA TOWARZYSZA WYPRAWY.

Dnia 13 kwietnia 1933 r. o 11^h 20' wyruszyliśmy — ś. p. W. Birkenmajer i ja — pieszo z Roztoki z zamiarem zaatakowania Ganku od wsch., drogą znalezioną przez W. Birkenmajera i K. Kupczyka, w dniu 15 lipca 1930 r. Poprzednią noc spędziliśmy w pociągu, a prof. Birkenmajer nawet dwie poprzednie noce. O 16^h byliśmy już w Dol. Kaczej, zrobiliśmy rekonesans pod ścianę i założyliśmy biwak nad Zielonym Stawem.

---

[1]) Dr. Roman Kordys w „Taterniku" z 1928 r., str. 100.

Nazajutrz wstaliśmy o 4^h 05'. Panowała cisza, po wierzchołkach snuły się mgły. Wyruszyliśmy o 6^h 25'. Prof. Birkenmajer czuł się źle, zabrałem zatem przypadającą nań część namiotu. Mimo tego dostał wymiotów, bicia serca i lekkiego krwotoku z nosa. Doradzałem mu, by jeden dzień odpoczął, a co będzie dalej — zobaczymy. Oświadczył jednak, że czuje się lepiej, i że w każdym razie dojdziemy pod ścianę. Tutaj — u stóp głównej rynny, zbierającej wsch. żleby Ganku i Gankowej Przełęczy — potwierdził, że czuje się już dobrze, i wobec tego weszliśmy w ścianę. Prof. Birkenmajer pierwszy zaatakował wymienioną rynnę, zgodnie z poprzednią naszą umową, że on będzie prowadził całą drogę; ciężko mi się przyszło na to zgodzić, ale ustąpiłem, gdy wyznał, że czuje iż kończy się już czas, w któryrmby mógł robić prawdziwie poważne wyprawy, i że na zakończenie chciałby mieć jakieś wielkie przejście, na któremby w całości prowadził.

Ponieważ pogoda była słoneczna i rynną szły nieustannie lawinki z okruchów lodowych, parokrotnie wzywałem prof. Birkenmajera do odwrotu. Nareszcie — po pokonaniu 15 m rynny — ustąpił i wróciliśmy pod ścianę. Nastąpił obiad, w czasie którego radziłem, abyśmy poszli na jakąś łatwiejszą wyprawę, np. na Batyżowiecką Grań; ale propozycję tę nazwał prof. Birkenmajer szerzeniem defetyzmu.

Zaczem o 12^h 40' zaatakowaliśmy rynnę ponownie. Prof. Birkenmajer zmiejsca pokonał 56 m. Następnie wyciągnął na linie oba worki. Wreszcie i ja mogłem ruszyć, po oczekiwaniu na stanowisku asekuracyjnem $3^1/_2$ godz. Tymczasem zaczął padać śnieg i poczęły iść lawiny pyłowe. Wobec tego ok. 19^h po raz ostatni wezwałem prof. Birkenmajera do odwrotu. Ale odpowiedział kategorycznie »nie!« Wieczorem przyszedł wiatr. Nie zdając sobie sprawy, że już jest tak późno, wspinaliśmy się nocą do 1^h, póki nie osiągnęliśmy buli na poziomie podnóża, występującego ponad dolnemi urwiskami, wsch. filaru Ganku. Tu na wys. (aner.) ok. 1900 m — wykopaliśmy jamę w śniegu, rozpięliśmy wewnątrz namiot i zjadłszy kolację ułożyliśmy się do snu. Była 6^h; zaznaczam jednak, że później w schronisku stwierdziłem, iż zegarek mój spieszył się o $1^1/_4$ godz., prawdopodobnie zatem już od tej nocy należy wszystkie podawane przezemnie czasy o tyleż cofać, notuję bowiem godziny jakie w danej chwili pokazywał mój zegarek.

Wobec nieprzespanej nocy i wielkiego wysiłku wspinaczego uznaliśmy za właściwe cały najbliższy dzień wypocząć, dopiero zatem w niedzielę dnia 16 kwietnia, o 7^h 30', wyruszyliśmy w dalszą drogę, zgodnie z programem atakując ostrze wsch. filaru. Pogoda, która poprzedniego dnia rano była jeszcze słoneczna, przyniosła później śnieg, który i obecnie sypał bez przerwy, choć narazie jeszcze w ciszy. Prof. Birkenmajer prowadził 2 długości liny, poczem oddał mnie prowadzenie. Wspinaczka szła nader powoli, do 11^h pokonaliśmy zaledwie 70 m. Postanowiliśmy zatem filar opuścić, i — po zjedzeniu obiadu — wytrawersowaliśmy w pr. do najbliższego żlebu, a następnie dalej w pr. na grzędę, którą pięliśmy się wgórę do wieczora. Prof. Birkenmajer czuł się niedobrze i często korzystał z pomocy liny. Zerwała się silna kurniawa, która dawała nam się mocno we znaki.

Pragnęliśmy dojść na Galerję Gankową i tam założyć nowy biwak. Spodziewaliśmy się, że będzie tam zacisznie, tymczasem, gdyśmy istotnie o 23^h dotarli na wsch. skraj Galerji, okazało się, że wicher jest tu jeszcze silniejszy niż w ścianie i że osiąga nasilenie huraganu. Próbowaliśmy rozbić namiot, ale natychmiast porwał nam wiatr podłogę namiotową. Uznaliśmy, że nie pozostaje nam nic innego, jak tylko okryć się płachtą namiotową i nie śpiąc, przesiedzieć do rana.

Teraz rozpoczęła się tragedja. Mieliśmy jeszcze dużo spirytusu, ale niestety wszystkie trzy posiadane przez nas pudełka zapałek, zamokły. Co kilkunasta dawała się wprawdzie zapalić, i parokrotnie udawało się nam stopić trochę wody, wiatr jednak nieustannie wdzierał się do naszego prowizorycznego namiotu i wielokrot-

nie gasił nam ogień, czasem zaś, nie mogąc znieść wyziewów, musieliśmy czynić to sami. Byliśmy przytem zupełnie przemoczeni.

W ciągu nocy zaginęła jedna wełniana rękawica prof. Birkenmajera i jedno pudło z żywnością, które zapewne zjechało do Dol. Czeskiej. Usiłowałem nie spać, jednak senność musiała nas zmorzyć, tak że dopiero ok. 6^h poczęliśmy się zbierać w dalszą drogę przez Galerję do Rumanowej Przełęczy i do Popradzkiego Stawu. Prof. Birkenmajer zaproponował, aby obie nasze liny przytroczyć do jego worka; nie zdając sobie sprawy, że świadczy to już o jego anormalnym stanie, pomagałem mu przy tej robocie.

Wyszliśmy z pod płachty. Uderzyła w nas wichura. O ile pomnę, prof. Birkenmajer skarżył się wtedy, że źle się czuje z powodu dwudniowej już kurniawy. Pomogłem mu nałożyć worek. Swego nie mogłem włożyć normalnie, albowiem wiatrówka zamarzła mi w banię, na którą worka niepodobnie było wciągać; powiesiłem go więc tylko na szyi. Uszedłszy kilkanaście kroków odwróciłem się i wówczas zauważyłem, że prof. Birkenmajer posunął się zaledwie kilka kroków. Zrzuciłem zatem worek i zawróciłem do niego. Uskarżał się na ciężki worek. Zdjąłem go zeń i postanowiłem nieść w rękach oba worki — prof. Birkenmajer szedł bowiem tak powoli, iż miałem na to dość czasu. Zaraz jednak spostrzegłem, że bez mojej pomocy towarzysz nie potrafi już iść. Zostawiłem więc jego worek i odebrałem mu jego górną część czekana (dolną zgubił jeszcze pierwszego dnia), a dałem mu własny czekan. Zaczęliśmy się znowu posuwać, w jednej ręce niosłem mój worek, drugą podtrzymywałem towarzysza, którego słowem i groźbą musiałem już zmuszać do każdego kroku. Musiałem krzyczeć: »teraz prawa noga! teraz lewa! teraz czekan!« — i tak ciągle. Przy każdym kroku jednak upadał i trzeba go było podnosić. Pozostawiłem zatem i drugi worek.

Prof. Birkenmajer nie władał już czekanem i wbijał go prawie równolegle do powierzchni śniegu. Dlatego też często obsuwaliśmy się, bądź obaj razem, bądź on sam. Odebrałem mu więc i czekan, i już wprost ciągnąłem go dalej. Zabrakło mi jednak wkrótce sił i począłem marznąć. Gdy sobie rozgrzałem rękę, zauważyłem, iż towarzysz mój sprawia wrażenie trupa. Usta miał otwarte, nieruchome, oczy zaszłe bielmem, ani śladu życia.

Wykopałem półeczkę w śniegu i ułożyłem na niej ciało. Następnie stwierdziłem, że serce nie bije, i że niema ani śladu oddechu. Zrozumiałem więc, że prof. Birkenmajer już nie żyje, i że jeśli nie chcę podążyć jego śladem, muszę, pozostawiwszy wszystko, przedostać się za wszelką cenę do Popradzkiego Stawu.

Miejsce, do którego dotarliśmy, było oddalone ok. 100 m od naszego ostatniego biwaku. Uszedłem już kilkanaście kroków, gdy zdawało mi się, że słyszę głos z tyłu. Zawróciłem więc zpowrotem do miejsca, gdzie zostawiłem mego towarzysza. Ów głos był jednak tylko halucynacją. Wśród szalejącej dalej zawieruchy i z pełną świadomością, że każdej chwili mogę podzielić los mego kolegi, począłem więc znowu posuwać się naprzód. Udało mi się niemal poziomo przetrawersować na Wsch. Rumanową Przełęcz, skąd do Popradzkiego Stawu doszedłem o 12^h (prawdziwej). Zawiadomiłem dzierżawcę o wypadku i musiałem uznać, że moja rola jest skończona zpowodu ciężkiego wyczerpania i odmrożeń.

Zakopane, dnia 22 kwietnia 1933 r. STANISŁAW GROŃSKI

II. AKCJA POGOTOWIA RATUNKOWEGO

W dniu 17 kwietnia b. r. o 19h, otrzymała SRPTT dość bałamutny telefon ze Smokowca, że w ścianie Ganku zamarzł jakoby znany taternik prof. Wincenty Birkenmajer. Nie mogąc zebrać dokładniejszych wiadomości, zorganizowano jednak

ekspedycję ratowniczą, która — w sile dwunastu ludzi — rankiem dnia 18 kwietnia udała się do Dol. Kaczej i tu podsunęła się pod wsch. urwiska Ganku. Równocześnie jednak przybył do ekspedycji żandarm czechosłowacki, stacjonowany na Łysej Polanie, który podał dalsze szczegóły wypadku, a w szczególności, że ciało ś. p. W. Birkenmajera nie leży w ścianie Ganku, lecz już na Galerji Gankowej. Wobec czego zawrócono do Zakopanego.

Tymczasem powrócił koleją do Zakopanego towarzysz Zmarłego, p. Stanisław Groński. W dniu 19 kwietnia, o 11^h, odbyto z nim wyczerpującą rozmowę, poczem zapadła decyzja natychmiastowego wyruszenia po zwłoki, oczywiście od pd. strony. O 15^h ekspedycja — w której wzięli udział Henryk Bednarski, Stanisław Gąsienica Byrcyn, Stanisław Gąsienica z Lasu, Andrzej Krzeptowski, Andrzej i Stanisław Marusarze, Stanisław Roj, Józef Stopka, Józef Gąsienica Tomków, Jasiek Tomków, Andrzej, Józef i Wojciech Wawrytkowie, oraz kierownik Józef Oppenheim — udała się autobusem do Jeziora Szczyrbskiego. O 20^h przybyto do Popradzkiego Stawu.

Nazajutrz o 5^h wyruszono na nartach ku miejscu wypadku, w towarzystwie ekspedycji czeskosłowackiej, złożonej z siedmiu ludzi pod wodzą G. Nedobry'ego. Pozostawiwszy narty w Dol. Rumanowej, o 9^h osiągnięto Wsch. Rumanową Przełęcz i rozpoczęto trawersowanie pn.-zach. zboczy Małego Ganku ku Galerji Gankowej. O 12^h 15' dotarto w pobliże zwłok, do których zeszło dwóch członków ekspedycji; leżały one, zgodnie z miejscem określonem przez p. Grońskiego, na dolnej krawędzi Galerji, częściowo przysypane i wmarznięte w świeży śnieg.: tej ostatniej okoliczności należy przedewszystkiem zawdzięczać, że nie zesunęły się w zerwy ku Dol. Czeskiej.

Przewiązawszy zwłoki wpół i za nogi, rozpoczęto ich transport ku przełęczy, zpowodu spóźnionej pory rezygnując już z zabrania worków, porzuconych opodal przez obu turystów[1]). Transport ciała był niesłychanie utrudniony, eksponowany i ryzykowny; w pewnem miejscu ciało obsunęło się nawet na całą długość liny. Warunki terenowe były ciężkie, na zlodowaciałym śniegu leżało 3 cm świeżego puchu.

Szczęśliwie zeszło jednak Pogotowie o 18^h 30' do Dol. Rumanowej, poczem — transportując już zwłoki na sankach z nart — o 20^h 30' przybyło zpowrotem do Popradzkiego Stawu.

W zakończeniu tej krótkiej relacji stwierdzić musi kierownik ekspedycji, że wyprawa po zwłoki ś. p. prof. Birkenmajera była pierwszą tego rodzaju ekspedycją zimową w dziejach Pogotowia i że nastręczyła Pogotowiu specjalnie trudne i niebezpieczne zadanie do wykonania. J. O.

III. PRZEMÓWIENIE WYGŁOSZONE NA POGRZEBIE W. BIRKENMAJERA W DNIU 23 KWIETNIA 1933 R.

Wincentego Birkenmajera złożono na wieczny spoczynek na cmentarzu zakopiańskim, w pobliżu tylu innych ofiar gór. Pogrzeb odbył się przy tłumnym udziale taterników, którzy ponieśli do grobu trumnę ze zwłokami Zmarłego, oraz jego uczniów, przybyłych w znaczniejszej liczbie z Poznania. Nad mogiłą przemawiał, imieniem STPTT, dr. K. Piotrowski, imieniem grona nauczycieli-kolegów Zmarłego, oraz Związku Nauczycieli Szkół Średnich w Poznaniu, prof. Miętus. Poniżej ogłaszamy w całości przemówienie D-ra Piotrowskiego.

W imieniu Klubu Wysokogórskiego PTT żegnam śmiertelne szczątki ś. p. Wincentego Birkenmajera. Nie jest to pierwsza i zpewnością nie ostatnia ofiara gór. Leżą one na tym cmentarzu, w Chamonix, w St. Christophe u stóp Meije i w tylu, tylu innych miejscach.

---

[1]) Worki te, dopiero z końcem maja zniosła osobna wyprawa dwu przewodników.

Wielką gromadę cieniów, do której przybył ostatnio ś. p. Wincenty Birkenmajer, łączyła tasama namiętna miłość gór, dla której ponieśli śmierć. Nazywano ich nieraz szaleńcami, a jednak mierzyli oni zamiar podług sił, a nie siły według zamiaru. Nie było między nimi mimowolnych samobójców.

W zmaganiu się człowieka z potęgą i grozą przyrody, które leży u podstaw taternictwa — Tatry letnią porą dają przyrodzie znikomą mniejszość szans, a olbrzymią ich większość taternikowi, godnemu tego imienia. Urwanie się chwytu, pęknięcie liny, błąd asekuracji, to są niemal jedyne podstępy, zapomocą których demon gór może zarzucić pętlę na szyję swoim ofiarom.

Zmierzając ku zwiększeniu własnej sprawności, taternicy ostatnich lat temsamem zmieniają stosunek szans na swoją niekorzyść. Najbardziej wartościowa ich część w wielkich wyprawach alpejskich, lub też zimowych wyprawach tatrzańskich stara się stworzyć równą grę z niebezpieczeństwem gór.

Ofiarą tej, najszlachetniej pojętej, równej gry padł ś. p. Wincenty Birkenmajer. W trzech — czy cztero-dniowej wyprawie śnieżno-skalnej odpada pewność korzystnych warunków atmosferycznych. Trzy lub cztery biwaki na śniegu i mrozie, wysoko wśród przepastnych turni — to już warunki wielkich czynów alpejskich. Wymagają one nietylko wysokiej sprawności technicznej, ale także niepospolitych sił i wytrzymałości, których zapasu nigdy nie można z całą ścisłością obliczyć. Wielka nieznana wartość coraz częściej wkrada się w taternicki rachunek prawdopodobieństwa.

Ten moment niespodzianki posiada swoje przemożne uroki. Ocenić go potrafi przedewszystkiem młodość, która

„Do nieba idzie po laury
Choć droga stroma i śliska

* * *

Szumią wichry, cieką głębie
A gwiazdy błękit rozjaśnią

* * *

I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu
Jeżeli poległem ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu".

„Non omnis moriar" możnaby napisać na nagrobku ś. p. Wincentego Birkenmajera. Odszedł nasz drogi towarzysz wypraw tatrzańskich i alpejskich, zdobywca zachodniej ściany Łomnicy, straszliwych urwisk południowej ściany Meije, skalnej grani Aiguille du Moine — ale pozostawił po sobie wiedzę taternicką, zgromadzoną z imponującą skrupulatnością, obejmującą wszystkie zakresy zainteresowań współczesnego alpinisty. Zbudowawszy pomnik swej sławy zdobyciem zachodniej ściany Łomnicy, nie zamierzał spocząć na laurach. Brał udział w obu ekspedycjach alpejskich Klubu Wysokogórskiego, jako alpinista pierwszorzędny, towarzysz niezrównany, pełen skromności, którą przewyższał tylko jego zapał. Zostawia w naszych sercach głęboki żal i trwałe wspomnienie. Niech Mu lekką będzie ziemia polskich gór.

KAZIMIERZ PIOTROWSKI

IV. ECHA PRASOWE.

Od czasu tragicznych śmierci Mieczysława Karłowicza (1909), Klimka Bachledy (1910) i M. Świerza (1929), żaden niewątpliwie wypadek górski nie wywołał w opinji publicznej tak wielkiego wrażenia jak śmierć W. Birkenmajera na Galerji Gankowej. Ogromny jej rozgłos prasowy — i to nietylko w Polsce — wydaje nam się rzeczą łatwo wytłumaczalną: w wypadku bowiem na Ganku, nietrudno chyba przyszło prasie wyczuć zarówno emocjonalne momenty pierwszorzędnej, poprostu, sensacji, jak i niemal jedyny dotychczas w Polsce, symbol najszczyt-

niejszych pierwiastków sportu zdobywczego: śmierci po uzyskaniu rekordu. Pozatem, stwierdzaliśmy to już nieraz, sport wysokogórski przebywa obecnie w zainteresowaniach szerokich mas, (których najlepszym wyrazem i sprawdzianem są pisma codzienne) zdecydowaną *haussę*. Z tego wszystkiego wynikła nietylko ogromna ilość głosów o wypadku, ale i naogół całkiem dobra ich jakość: nie pisano już ani trochę takich głupstw jak swego czasu z okazji wydarzeń na Małym Jaworowym Szczycie. Oszczędzono też wyrzutów zarówno zmarłemu jak i całej STPTT, nie powtarzano już określeń w rodzaju „szaleństwo", „fałszywa ambicja". „lekkomyślne lekceważenie życia własnego i cudzego" i t. p.; i nie wołano o prokuratora, Tak, ten fakt: inwazję myślenia sportowego w szerokie społeczeństwo, stwierdza się przy każdej odpowiedniej okazji.

Pierwszą wogóle wiadomość o wypadku, ze źródeł prywatnych, przyniosło „Tempo Dnia" z dnia 19 kwietnia („Znakomity turysta wysokogórski zamarzł na śmierć"). Koncern wydawnictw „I. K. C." miał wogóle wiadomości najwięcej i najbardziej dokładne. Przez szereg dni pojawiały się w jego pismach codziennie nowe szczegóły o wypadku, akcji ratowniczej i t. p. Z pośród nich cytujemy najważniejsze i największe artykuły: „Tragedja znakomitego taternika na niebezpiecznej ścianie Ganku", „Śnieżny grób śp. Wincentego Birkenmajera nad lodowemi przepaściami", „Co mówi towarzysz śp. Birkenmajera", „Pogrzeb śp. prof. Birkenmajera w Zakopanem" i i. (ogłoszone w „I. K. C." w dniach 20—24 kwietnia). W dalszym ciągu przyniósł „I. K. C." również specjalny wywiad z Grońskim („Śmiertelna walka na ścianie Ganku", nr. z 22 IV) oraz z J. Oppenheimem („Jak odbyła się wyprawa po ciało śp. Birkenmajera?", nr. z 24 IV). On również ogłosił piękne wspomnienie J. K. Dorawskiego o przyjacielu („Ś. p. Wincenty Birkenmajer", nr. z 28 IV).

Wiadomości o wypadku podała także PAT. Ogłosiły ją wszystkie niemal dzienniki. Była dość bałamutna. Czytaliśmy w niej o Tomanowej Przełęczy i t. p. W całej prasie nie brakło następnie krótszych lub dłuższych wzmianek o poszukiwaniu zwłok, pogrzebie w Zakopanem i t. p.

Znakomity, głęboko udramatyczniony obraz śmiertelnej wyprawy na Ganek, dał Rafał Malczewski w „Gazecie Polskiej" („Ofiara Tatr", nr. z 26 IV). Nekrolog Birkenmajera ogłosił również Zdzisław Dąbrowski („Kurjer Poranny" z 21 IV), a dalej „Kurjer Warszawski" (nr. z 20 IV, w korespondencji z Poznania) i „Wiadomości Turystyczne" (nr. z 1 V). Omówienie wypadku i znaczenia Birkenmajera w taternictwie przyniósł dalej „Przegląd Sportowy" (J. A. Szczepańskiego „Rekordowy i tragiczny sezon taternicki", nr. z 3 V) oraz „Przegląd Turystyczny" (Z. Grabowskiego „Śmierć ś. p. W. Birkenmajera na Galerji Gankowej", nr. z 1 VI). Śmierć Birkenmajera wywołała i dalsze echa, zastanawiał się nad nią Jalu Kurek w „I. K. C." z 24 IV, E. Fostowicz Zahorski (w „Kurjerze Warszawskim" z 30 IV) wydrukował nawet dwa banalne wiersze taternickie, poświęcone Zmarłemu.

Jakiś Dick zajął się „Na dzień dobry" („Kurjer Poranny" z 20 IV) „Tragedjami górskiemi": zdanie takie jak „manja powtarzania za innymi tych samych dróg górskich" dostatecznie charakteryzuje jego mętne uwagi. Niewątpliwie dobrą wolą kierowała się M. Sandoz, ogłaszając w „Światowidzie" z 29 IV omówienie „Tragedji na Ganku"; ale dobre chęci nie wystarczają do pisania o tak trudnych dla laika sprawach ściśle taternickich. Artykuł jej był pełen błędów i potknięć. Należy też żałować, że wydawnictwa „I. K. C." — które zresztą tak wzorowo pisały właśnie o „Tragedji na Ganku" — i w tym wypadku nie postarały się o lepszego informatora.

Z zagranicznych głosów możemy narazie zacytować: „Tragedia polského profesora w Tatrách" („Slovák" z 20 IV), „Čo bolo pričinou smrti V. Birkenmajera?" („Vysoké Tatry" z 6 V), — oraz długą impresję Karola Murgaša w „Slováku" z 28 IV p. t. „A smelý taternik sa už nikdy viac nevráti..." Wiadomość o wypadku podały dalej: „Karpathen-Post" z 22 IV („Bergestod"), co powtórzono w „Turistik, Alpinismus, Wintersport".

Nakoniec i w „Wiadomościach Literackich" (z 7 V) jeden artykuł ze swej rubryki „Sto wierszy o sporcie" poświęcił J. M. Rytard wyprawie na Ganek. Na niektóre jego sformułowania nie możemy się zgodzić, w szczególności niedopuszczalne było włożenie w usta Grońskiego słów, których on nigdy nie wypowiedział i wypowiedzieć nie mógł („To było wspaniałe. Birkenmajer spełnił swój obowiązek, zginął na posterunku"...; taternik n i g d y nie powie, że śmierć górska jest spełnieniem obowiązku). Ale niemniej, artykuł ów miał swój silny artystyczny wyraz, a jego końcowe ujęcie jest tak trafne, że chcemy je tu zacytować: „Zginął (Birkenmajer) na posterunku swej woli i nadludzkiego zadania Sciana Ganku była tylko rekwizytem potrzebnym do próby, której sens i istota leży w zupełnie innych regjonach". Nakoniec „Gazeta Literacka" z czerwca b. r. w zwięzłej notatce przypomniała l i t e r a c k ą sylwetkę Zmarłego.

We wspomnieniu swojem stwierdził J. K. Dorawski: „chciał (Birkenmajer) zdobyć wsch. filar Ganku, a z nim prawdopodobnie górną granicę tego, co wogóle w Tatrach zimowych da się osiągnąć. Miał do tego pełne kwalifikacje i szanse, zawiodło go szczęście, niezbędnie potrzebne w takiej działalności". A J. A. Szczepański wnioskował: „Birkenmajer zdobył rekord taternictwa zimowego, jakiemu nieprędko się chyba zdoła dorównać. Ale

okupił go śmiercią.... Niewątpliwie jednak, śmierć taka oznacza jakiś błąd w rachunku"— i podkreślił zlekceważenie *konieczności* (przed tak rekordową wyprawą') bodaj krótkiego treningu. „Pocieszamy się tem jednak, że straszliwa siła przyrody złamała tylko ciało Birkenmajera, duch jego uleciał nieugięty i triumfujący". „Zgon jego, poprzedzony wspaniałym triumfem nad nieprzystępnością skał, był epopeją na miarę nieznaną dotychczas w Tatrach".

N. D.

Z ZAGADNIEŃ HIGJENY W TATERNICTWIE WSPÓŁCZESNEM

Sprawa higjeny sportowej w taternictwie jest działem, który dotychczas nie cieszył się dostatecznem zainteresowaniem ani zrozumieniem w stosunku do swej doniosłości. W polskiej literaturze wysokogórskiej znajdujemy jedynie w Przewodniku J. Chmielowskiego z 1906 r. rozdział, opracowany zresztą przez lekarza, w którem autor omawia w sposób zupełnie wyczerpujący, jak na ówczesne czasy, zagadnienia higjeny taternictwa. Niżej zamieszczone uwagi mają na celu zaznajomić szerszy ogół taterników z nowszemi poglądami nauki na niektóre sprawy poruszonego tematu, a przedewszystkiem na higjenę pracy i wysiłku fizycznego w taternictwie. Zagadnienia te stają się, szczególnie w ostatnich czasach, coraz bardziej aktualne. Musimy sobie bowiem uświadomić, że w ciągu 27 lat od czasu ukazania się wyżej wspomnianej książki, rozwój taternictwa postąpił znacznie naprzód, głównie w kierunku sportowym i to zarówno w zakresie skali pokonywanych trudności jak i w odniesieniu do wielkości dokonywanych wysiłków. Dzisiaj, kiedy mamy już dość silnie rozwiniętą nową gałąź sportu wysokogórskiego w postaci taternictwa zimowego, kiedy taternicy wyjeżdżają całemi grupami w Alpy i dokonują tam pierwszorzędnych przejść, potwierdzając tem znane powiedzenie J. Chmielowskiego, „że Tatry są doskonałą szkołą alpinizmu", przynajmniej odnośnie do techniki skalnej, kiedy coraz śmielej mówi się o polskiej wyprawie w góry egzotyczne, — dzisiaj temsamem muszą być inne wymagania od strony fizycznej taternika. Wysuwają się więc nowe, dotychczas prawie nieporuszane zagadnienia higjeny sportu wysokogórskiego.

Jak ważnem jest możliwie wszechstronne rozwiązanie tego zagadnienia, świadczą o tem, coraz częściej zdarzające się w ostatnich latach, śmiertelne wypadki wśród objawów ogólnego wyczerpania lub porażenia czynności serca, które prawdopodobnie dałyby się uniknąć przy odpowiednio zorganizowanej opiece lekarskiej. Chodzi oczywiście nie o opiekę nad taternikiem w górach w czasie wycieczki, ale o kontrolę jego stanu zdrowia w okresach przed sezonem letnim czy zimowym. Wszystkie prawie rodzaje sportu mają taką opiekę już od dawna zorganizowaną. Zagranicą, np. w Niemczech, każdy nawet nieduży klub sportowy ma swoich lekarzy, których specjalnością jest badanie sportowców, istnieją pozatem poradnie dla sportowców, instytuty naukowe poświęcone wyłącznie higjenie sportowej, które pracują nad rozwojem nowego działu medycyny sportowej. Żaden członek klubu sportowego nie zostanie dopuszczony do udziału w treningu czy w zawodach, bez dokładnego zbadania lekarskiego. W tych warunkach również i członkowie organizacyj alpinistycznych mają dostatecznie ułatwioną fachową poradę lekarską, której też nie zaniedbują dzięki rozwiniętej trosce o zdrowie, jaka cechuje społeczeństwa o wyższej kulturze. U nas te rzeczy naogół są albo w zawiązku, albo wykonywane bywają dość niedbale i z lekceważeniem, o czem miałem sposobność sam się przekonać, kiedy brałem udział w zawodach narciarskich, urządzanych przed paru laty przez jeden z większych klubów sportowych.

Za koniecznością wprowadzenia w organizacjach taternickich należytej opieki lekarskiej dla członków czynnych-taterników przemawiają szczególne względy. Taternicy, przynajmniej dotychczas, stanowią oddzielny typ sportowca. Rekrutują się prawie z reguły z pośród ludzi pracujących umysłowo i wykazują niewiele zainteresowania w stosunku do innych sportów, conajwyżej uprawiają ubocznie turystykę narciarską lub wodną. Nie na miejscu byłoby wnikać

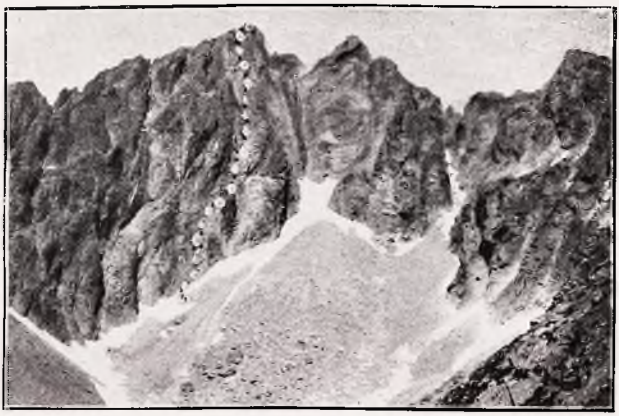
w przyczyny tego zjawiska, tak głęboko związanego z istotą poszczególnych rodzajów sportu i psychiką ich adeptów. Okoliczność ta jednakże powoduje, że przeciętny taternik przez długi szereg miesięcy niema sposobności na drodze odpowiednich ćwiczeń podtrzymywać swej sprawności fizycznej, co, wraz ze szkodliwemi skutkami domestykacji w miastach, odbija się ujemnie na odporności wysokogórskiej taternika, określonej tak obrazowo słowem „łykowatość". Drugim zaś ważnym względem, jest rodzaj uprawianego sportu. Taternictwo bowiem, jako jeden ze sportów przestrzeni, połączone jest z natury swej z wykonywaniem wysiłków długookresowych, które stawiają znaczne wymagania od serca. Pod tym względem zbliża się taternictwo poniekąd do narciarstwa i biegów długodystansowych, w przeciwieństwie do sportów boiskowych, gdzie wchodzą w grę wysiłki krótkie chociaż o wysokiem naprężeniu. To przeciwstawienie obu grup sportów ma swoje uzasadnienie we wpływie, jaki wywierają one na ustrój ludzki. Wpływ ten uwidacznia się najwyraźniej we wzajemnym stosunku rozwoju mięśnia sercowego do mięśni szkieletowych. Stanie się to zrozumiałem, jeżeli poznamy bliżej obecny pogląd na istotę pracy fizycznej i wpływu jej na narządy ustroju.

Praca mięśnia polega na jego skurczu, przy równoczesnem pokonaniu pewnego oporu. Skurcz ten powstaje dzięki energji wyzwolonej przez rozpad ciał zapasowych mięśnia, w szczególności t. zw. glikogenu, na części składowe t. j. na cząsteczki kwasu mlekowego. Powstały kwas mlekowy ulega w okresie rozkurczu mięśnia spaleniu, ale tylko w małej części, przyczem energja stąd powstała, służy do częściowego odbudowania glikogenu z pozostałych cząsteczek kwasu mlekowego. Odbudowany glikogen przy następnym skurczu ulega ponownej rozbudowie i t. d. Zatem w przemianie materji w mięśniach mamy dwa naprzemienne okresy t. j. okres rozpadu i okres częściowej odbudowy glikogenu. Sam proces spalania nie jest więc bezpośrednio potrzebny do wykonania skurczu, a temsamem do pracy mięśniowej. Przy spalaniu kwasu mlekowego powstaje bezwodnik kwasu węglowego, który krąży w krwi, pobudza ośrodek oddechowy w rdzeniu przedłużonym, a ten znów, za pośrednictwem nerwu błędnego, pogłębia i przyspiesza czynność oddechową płuc. Dzięki temu, zostaje szybko z ustroju wydalony bezwodnik kwasu węglowego, a na jego miejsce pobrany z powietrza tlen, tak potrzebny ustrojowi w okresie nasilonej pracy. Wzmożona czynność płuc i mięśni szkieletowych wzmaga ilość krwi krążącej, kosztem krwi zalegającej w narządach jamy brzusznej, tudzież przyspiesza czynność serca, co się uwidacznia w przyspieszeniu tętna, zależnem pozatem od innych czynników m. i. czynników psychicznych. — Widzimy więc współzależność i równowagę między pracą mięśni z jednej strony, a czynnością płuc i serca z drugiej. Podobna współzależność istnieje również między płucami i sercem, którego rozmiary w czasie pracy fizycznej są powiększone na skutek większego napływu krwi. Dzięki czynności serca i płuc, ulega szkodliwy dla ustroju kwas mlekowy szybkiej przeróbce na drodze wyżej opisanej, a bezwodnik kwasu węglowego zostaje wydalony z powietrzem wydechanem. W ten sposób, przy prawidłowej czynności i równowadze między opisanemi czynnikami regulującemi, któremi są mięśnie, serce i płuca, praca może postępować przez dłuższy czas bez szkody dla ustroju i bez jakichkolwiek zaburzeń.

Jeżeli jednakże praca przekroczy pewne optimum nasilenia, tak, że krążąca krew nie zdoła dostarczyć odpowiedniej ilości tlenu, potrzebnej do przeróbki całkowitej ilości kwasu mlekowego, i nie zdoła usunąć nadmiaru bezwodnika kwasu węglowego, wówczas powstaje zaleganie tych szkodliwych składników, czyli t. zw. deficyt tlenowy. Ale i wtedy, przy sprawności opisanych wyżej czynników regulujących, może przyjść do równowagi dzięki nasilonej czynności płuc i serca, oczywiście przy niezwiększonem tempie pracy. — Dopiero, kiedy tempo pracy przekroczy pewne maximum, dla każdego ustroju inne, powyżej którego pomimo najintensywniejszej pracy płuc i serca gromadzi się w mięśniach i w krwi coraz to większa ilość kwasu mlekowego i bezwodnika kwasu węglowego, wówczas dopiero ustrój, wśród uczucia nadmiernej duszności, musi pracę przerwać, pomimo najsilniejszych bodźców psychicznych. Jest rzeczą zrozumiałą, że praca w pobliżu maximum wydolności płuc i serca stanowi dla tych narządów próbę wytrzymałości, a stosowana zbyt często i nieoględnie, może nawet u zdrowych pozostawić szkodliwe następstwa.



POŚREDNIA GRAŃ OD PÓŁNOCNEGO - WSCHODU



ROGATA TURNIA I STAROLEŚNA Z DOLINY SŁAWKOWSKIEJ

Należałoby teraz zastanowić się, jakim rodzajom pracy, szczególnie u taternika, odpowiadają opisane 3 okresy czynności narządów. Otóż okres pierwszy odpowiada pracy lekkiej którą ustrój wykonuje bez żadnego szczególnego uczucia, jak n. p. kołatania serca, tętnienia w skroniach i t. d. Jest to praca o tem nasileniu, które wystarcza w naszem życiu codziennem. — W granicach okresu drugiego można pomieścić wszystkie prawie rodzaje pracy, spotykanej w sportach połączonych z wysiłkami długookresowemi, a więc i w taternictwie. Wskutek nasilonej pracy mięśni, gromadzi się nadmiar kwasu mlekowego i bezwodnika kwasu węglowego w tkankach i w krwi, ale nie przekracza pewnej określonej ilości, dzięki wzmożonej czynności płuc i serca. Od wzajemnego stosunku, jaki zachodzi między ilością tych ciał nagromadzonych w tkankach, a nasileniem czynności płuc i serca potrzebnem do utrzymania równowagi, zależy tempo pracy i samopoczucie taternika. Widzimy tu całą skalę zaprawy wysokogórskiej. Pokonanie pewnego wzniesienia, które u jednych wywołuje lekkie pogłębienie oddechu i mierne przyspieszenie tętna, sprowadza u innych silne kołatanie serca, uderzanie krwi do głowy i uczucie duszności. Ze stanowiska fizjologa, pierwszy pracuje jeszcze na granicy okresu pierwszego, drugi zbliża się już do górnej granicy okresu drugiego. Różnice powyższe zależą, oczywiście w odniesieniu do ludzi całkowicie zdrowych, od właściwości wrodzonych ustroju i od zaprawy, czyli treningu. O ile na właściwości wrodzone nie mamy prawie żadnego wpływu i nie możemy ich dotychczas bliżej określić, o tyle istotę treningu, jego znaczenie i sposób nabycia znamy obecnie znacznie lepiej. W pojęciu treningu, mieszczą się dzisiaj dokładnie opisane właściwości organiczne i czynnościowe ustroju, różne w poszczególnych rodzajach sportu. Między organizmem sportowca posiadającego trening, a pozbawionego treningu, zachodzą dość duże różnice, szczególnie w zakresie narządu krążenia. U alpinistów n. p. posiadających trening stwierdzano w okresie spoczynku serce lekko powiększone naskutek przerostu, tudzież dość znaczne zwolnienie tętna i obniżenie ciśnienia krwi. Te cechy, które są niewątpliwie wyrazem anatomicznym i fizjologicznym podniesionej wydolności ustroju, zanikały po dłuższym okresie niechodzenia po górach. Zatem powiększone w miarę serce u alpinisty nie jest objawem chorobowym, lecz przeciwnie, jest dowodem jego wysokiej sprawności, dzięki której to serce w okresie większej pracy, a więc np. w sezonie letnim lub zimowym, może czasowo zwiększać swą masę mięśniową. Odnosi się to jednak wyłącznie do serca zdrowego, gdyż mięsień sercowy uszkodzony, np. po ostrej chorobie zakaźnej jak tyfus lub dyfterja, nie posiada tej sprawności wcale, albo tylko w zmniejszonym stopniu, a temsamem zaburzenie równowagi fizjologicznej wystąpi u takiego sportowca przy znacznie mniejszym wysiłku niż u zdrowego, w przypadkach zaś silniejszego znużenia może przyjść do porażenia czynności serca na skutek ostrej niedomogi mięśnia sercowego, co nie zdarza się prawie nigdy u zdrowych. Serce u taternika jest narządem, który wykonuje stosunkowo najintensywniejszą pracę. Praca ta w dodatku wzrasta jeszcze na znaczniejszych wysokościach pod wpływem zmniejszonego ciśnienia powietrza. Nie można tego powiedzieć o mięśniach szkieletowych, które, wobec wolnego zazwyczaj tempa pracy taternika, wykonują swą czynność powoli bez dłuższych i wytężonych skurczów. Nawet w czasie wspinaczki nie można mówić o forsownej pracy mięśniowej, gdyż chodzi tu raczej o zręczność i opanowanie nerwów niż o wysiłek fizyczny. Następstwem tego jest charakterystyczny niestosunek między silnie rozwiniętym mięśniem sercowym, a niezbyt silnie rozwiniętemi mięśniami szkieletowemi, co nadaje taternikowi jego smukły zazwyczaj wygląd zewnętrzny.

Przy omawianiu pracy fizycznej należy uwzględnić również sprawę t. zw. znużenia. Jest to pojęcie bardzo nieścisłe i względne. Nie można bowiem mówić o znużeniu jako o czemś jednolitem i ogólnem, dającem się niewątpliwie stwierdzić przedmiotowo. Znużenie można jedynie odczuwać w zakresie tej lub owej grupy mięśni, takiego lub innego zmysłu np. wzroku lub słuchu, lub wreszcie całego układu np. krążenia krwi (przyczem chodzi tu głównie o serce), lub układu nerwowego. Zwykle w taternictwie, jeżeli mówi się o znużeniu ogólnem, to ma się na myśli ostatnie dwa rodzaje znużenia, w połączeniu ze znużeniem pewnych grup mięśniowych np. mięśni nóg. W języku potocznym znużenie możnaby określić jako sygnał ostrzegawczy przed wyczerpaniem, t. j. stanem, w którym organizm pomimo

największego wysiłku woli odmawia posłuszeństwa. Podmiotowo znużenie objawia się uczuciem osłabienia i lekkiej duszności, apatją, wrażliwością i dość silnym brakiem łaknienia. Stopień odczuwania znużenia jest tak różny u poszczególnych ludzi, w tych samych warunkach i po jednakowych wysiłkach, wskutek swej zależności od treningu i od wpływów psychicznych, że nie można zupełnie określić w znaczeniu ogólnem stopnia zależności między uczuciem znużenia a wydolnością sportową przeciętnego taternika.

Poruszone zagadnienia z zakresu fizjologji i higjeny sportu wysokogórskiego są znacznie bardziej zawiłe niż możnaby sądzić z tego uproszczonego schematu. Pozostają do omówienia jeszcze takie działy jak higjena wspinaczki, sprawa choroby górskiej i t. d. Bliższe poznanie tych poszczególnych zagadnień przyczyni się może do większego niż dotychczas uwzględniania tak ważnych dla taternika spraw, jak trening i ocena stopnia wydolności serca. Jest rzeczą conajmniej dziwną, że właśnie w taternictwie sprawa treningu była dotychczas tak całkowicie zaniedbana. W żadnym innym sporcie organizm ludzki nie bywa narażony w tym stopniu i na tego rodzaju wysiłki i trudy co w taternictwie. Żaden sportowiec nie zostanie dopuszczony do zawodów bez treningu, ale taternik, który czasem rok prawie przepędził przy pracy umysłowej, zaraz po przyjeździe do Zakopanego porywa się na kilkodniową odkrywczą wyprawę. Nic też dziwnego, że już na początku odczuwa silne znużenie, które przezwycięża jednak siłą woli, chwilę wytchnienia znajduje pod ścianą, gdzie składa z ulgą swój ciężki worek, a naprawdę odpoczywa dopiero gdzieś w ścianie lub na grani, asekurując swego towarzysza. Jeżeli pierwszy dzień poświęcony jest na dojście, to noc, po dniu pełnym trudów, spędzona w warunkach schroniskowych, od których dawno odwykł, bywa częściowo bezsenna, a taternik wita z radością chwilę wymarszu. W czasie podejścia jednak czuje się zwykle fatalnie, pod ścianą nie może się posilić z powodu braku łaknienia, i dopiero w czasie wspinaczki, zwłaszcza po pokonaniu pierwszych trudności, zaczyna odzyskiwać dobry humor, podziwia piękność otoczenia, a na szczycie odczuwa głód, który zaspakaja wśród zachwytów nad dokonanym wyczynem. Czasem pojawia się dość silna potrzeba snu, która daje powód do drzemki na szczycie, albo gdzieś w drodze powrotnej. — W takiem stopniowaniu przeżyć taternika, odgrywa zapewne dużą rolę niepokój o losy wycieczki, zależne często od nieprzewidzianych trudności skalnych lub od pogody, niemniej ma też duże znaczenie nadmierne znużenie z początku wycieczki i stopniowe wypoczywanie później w czasie powolnej wspinaczki, a wreszcie zaspokojenie głodu. Takiego załamywania się w początkach marszu niema zwykle podczas wycieczek urządzanych pod koniec sezonu, kiedy taternik osiągnął już pewien trening, a sama wspinaczka odbywa się z większą pewnością i spokojem nerwów.

Jeszcze znacznie poważniejsze następstwa niż w lecie sprowadza brak treningu w czasie wycieczek zimowych. Tu bowiem chodzi już nietylko o pokonywanie wzniesień ale i o odporność w stosunku do srożących się niekiedy żywiołów, wśród których tak często w zimie przychodzi biwakować. Prócz tego chodzi tu o wytrwałość we wspinaczce z pełnem obciążeniem, znacznie większem niż w lecie. Tutaj brak treningu może sprowadzić groźne, a czasem tragiczne następstwa, jak mieliśmy tego w ostatnich latach niejednokrotnie przykład. Sposób i okres czasu, potrzebny do nabycia treningu, jest sprawą indywidualną każdego taternika. Jest dowiedzionem, że nabyty trening można, przynajmniej w pewnej mierze, utrzymać przez szereg miesięcy w warunkach miejskich, dzięki odpowiednim ćwiczeniom w godzinach wolnych od zajęć zawodowych. Obok treningu, bardzo ważną i aktualną sprawą we współczesnem taternictwie jest odpowiednia opieka lekarska w myśl zasady wyrażonej na początku. Jedyną drogą do tego jest urządzenie przez Klub Wysokogórski we wszystkich większych ośrodkach kraju odpowiednich poradni pod kierunkiem lekarzy, któreby mogły przeprowadzać całkowite badania, w szczególności czynności i sprawności serca u członków Klubu, ewentualnie w razie możności i u innych członków PTT. — W Krakowie organizowanie takiej poradni jest już w toku, a członkowie, którzyby chcieli poddać się badaniu, mogą zasięgnąć bliższych wiadomości w Zarządzie Klubu.

Należy mieć nadzieję, że w razie pomyślnego przeprowadzenia sprawy treningu taternickiego i poradni lekarskich, nieszczęśliwe wypadki śmierci z wyczerpania lub porażenia czynności serca, będą należały do rzadkości.

DR A. SOKOŁOWSKI

PROBLEMAT PROFESJONALIZMU W SPORCIE GÓRSKIM

(Artykuł dyskusyjny).

Gdy ub. jesieni w paru artykułach dziennikarskich poruszyłem umyślnie sprawę profesjonalizmu i półprofesjonalizmu w najnowszem taternictwie — liczyłem wówczas na przeciągłe echo moich uwag, nie spodziewałem się jednak — przyznaję — tak żywej dyskusji, jak ta, która się wówczas w środowisku taternickiem rozwinęła. Piórem d-ra Adama Sokołowskiego wypowiedział się »Taternik« stanowczo przeciw profesjonalizmowi taternickiemu; mnie również uznano za jego zdecydowanego przeciwnika. Tymczasem ja, nazywając objawy tegoż profesjonalizmu w lecie 1932 r. »cieniem sezonu« — miałem na myśli przedewszystkiem pewne uboczne zjawiska, wówczas z niem związane, a także punkt widzenia przedwojennej etyki taternickiej, dla której możliwość materjalnego wykorzystania przez taternika jego własnej górskiej sprawności była obca a nawet wstrętna. Osobiście jednak jak najdalszy jestem od potępiania w czambuł rzetelnego profesjonalizmu, lub zgoła urągania mu (jak to pohopnie czyniono) od »fordanserów tatrzańskich« i t. p.; a samo zagadnienie, w ramach współczesnego sportu taternickiego, uważam za tak ważne i dla naszych czasów znamienne, że zamiast zgruba osądzać, spróbuję je poddać starannej i zasadniczej analizie.

Zacznijmy od punktu wyjścia. Taternictwo, ów nader swoisty odłam sportu, przez wiele lat uprawiała wyłącznie grupka wtajemniczonych, całkowicie odseparowana od szerokiego życia sportowego i zamknięta w głębi »swoich« gór i później swego ezoterycznego czasopisma. Była to garstka dżentelmenów, starannie dobranych i bodaj na tyle zasobnych finansowo, aby móc sobie pozwolić na luksus ściśle prywatnej i nieamortyzującej się ekonomicznie pasji. Taternictwo przypominało wówczas dostojny alpinizm angielski, który aż do dziś umiał nienaruszonemi przechować zasady *splendid isolation* w sporcie. Ale w latach powojennych ta sytuacja taternictwa zmieniła się zgruntu. Tymczasem bowiem sport podbił zwycięsko najbardziej obce sobie narody, a wyzwalając się z haseł służenia jednostce (ćwiczenia gimnastyczne dla zdrowia) czy państwu (wychowanie fizyczne dla celów militarnych) — wszedł w najszersze warstwy społeczne jako widowisko, przynoszące widzom emocje zmagania się o rekord. Jak wiadomo, ten rodzaj wzruszeń stał się współczesnemu człowiekowi szczególnie cenny, cenniejszy nawet niż wrażenia z zakresu religji czy sztuki. Tak daleko posunięta demokratyzacja sportu musiała na plan nader bliski wysunąć zagadnienia gospodarcze. Dziś tylko nieznaczna cząstka sportowców może nie troszczyć się o swój byt, w dosłownem tego pojęcia znaczeniu.

Otóż rozwojowi sportu jako takiego nie mogło pozostać obce i taternictwo, skoro równocześnie sprecyzowało swoją sportowość. Upodabnianie się uprawiania taternictwa do uprawiania innych sportów (oczywiście, mniej sportów czysto boiskowych niż sportów przestrzeni) jest procesem rozłożonym na długi okres czasu, trwającym już szereg lat i dalekim jeszcze do ukończenia. Początek — o dziwo — dali mu ludzie, bardzo odlegli od dzisiejszego pojmowania sportu. Nieda się bowiem zaprzeczyć, że rozpoczęli go ci, którzy niezrozumiałe dotyczas i żadną zzewnątrz uwagą nie darzone taternictwo, zaczęli objaśniać i wielbić w prasie codziennej (a więc np. Zaruski czy Świerz, a nawet Karłowicz): w Anglji do dzisiejszego dnia jedynemi alpinistycznemi artykułami w dziennikach są egzotyczne reportaże wysokogórskie Smythe'a, dziennikarza, raczej obcego ideologicznie *Alpine Club*'owi.

W poszukiwaniu nowego dreszczu sportowego sięgnięto od boiska do rekordu morskiego czy powietrznego. Takim samym *pokupnym* rekordem stał się rekord górski. Z tą chwilą przyszła przedewszystkiem możność spieniężania swoich wrażeń artystycznych czy sportowych w formie opisów czynu górskiego, spieniężania swojej wiedzy fachowej na stanowiskach redaktorów wydawnictw wysokogórskich i t. p. Najdalej posunęli się tu Niemcy, u których alpinizm stał się jednym ze sportów narodowych. Trzeba też stwierdzić, że aczkolwiek tego rodzaju zjawisko ani trochę nie jest jeszcze profesjonalizmem, w tem znaczeniu, w jakiem się go dziś powszechnie rozumie — sprzedaje się wartości trwałe i natury intelektualnej — stoi już jednak u jego progu i jest jakgdyby bramą, przez którą wkracza i wkroczyć musi właściwe zawodowstwo.

Sportu współczesnego nieda się pomyśleć bez rekordu. Ów rekord jednak osiągnąć coraz trudniej. Rozwój sportu niemal zmusił czynnych sportowców do zawodowego poświęcania się swej umiejętności. Tak, jak i w innych dziedzinach działalności człowieka — amator stał się w sporcie synonimem dyletanta, a właściwe rozwijanie sportu oraz uzyskiwanie ubóstwianego rekordu przypadło bez reszty profesjonaliście.

Przeróżne względy uboczne, o których nie pora tu mówić, spowodowały jednak oficjalne potępienie profesjonalizmu sportowego. W wyniku, staliśmy się wszyscy świadkami nader komicznej, i każdemu jawnej, gry w ciuciubabkę. Ukryte zawodowstwo, i związanych z niem tysiąc niemoralnych kombinacyj, stało się plagą współczesnego sportu, od której coraz częściej chcą sport uwolnić jego teoretycy: programem zmiany w poglądach na wartość i znaczenie samego zawodowstwa.

Polski rekord wysokogórski szeroką falą przedostał się już od wydawnictw PTT do prasy codziennej. Komu z czytelników polskich nie są dziś znane np. alpejskie sukcesy polskie? Rzecz prosta, popularność wysokogórców nigdy nie będzie równa popularności piłkarzy lub narciarzy. Ale czy dziś trudno nam sobie wyobrazić ankietę, powiedzmy »Przeglądu Sportowego«, mianującą jakiegoś alpinistę jednym z dziesięciu najlepszych sportowców polskich w roku 193....? Z chwilą zaś spopularyzowania pewnego sportu — poczynają oddawać mu się również ludzie, których pobudki danego sportowego działania są wtórne.

W sporcie wysokogórskim profesjonalizm *sui generis* istniał zawsze. Pod tym względem był nawet nasz sport wyjątkiem, wyprzedzającym inne sporty, na tle swoich ścisłych specjalności. Myślę tu, rzecz jasna, o przewodnictwie górskiem. Zawodowi przewodnicy uczyli swoich turystów terenu; zaczęli później zdobywać dla nich urwiska. Z tą chwilą, odtrącono ich. Pozostali chyba dla sportowców mniej ambitnych, oraz dla Anglików, uprawiających chodzenie po górach z wielkopańską nonszalancją. Coprawda, objektywne niebezpieczeństwa gór wielkich uratowały tamtejsze tubylcze zawodowe przewodnictwo przed upadkiem; ale zato ubóstwo tych samych niebezpieczeństw na przeciętnych drogach w górach wspinaczkowych odebrało tutaj temuż przewodnictwu niemal wszelki sens.

I znowu tylko na jakiś czas, gdyż wkrótce przyszli na ich miejsce ludzie, którzy w Tatrach zażądali dla siebie nietrafnej nazwy »przewodników dżentelmenów«.

Wyśrubowanie rekordu skalnego utrudniło, jeśli nie uniemożliwiło, ubieganie się oń większej grupy turystów. Ostali się ci, którzy — z jakichkolwiek przyczyn — najdłużej i najbardziej systematycznie mogli swój sport uprawiać. Ci ludzie zetknęli się z innymi — nie mającymi ambicyj rekordowych, wzgl. nie umiejącymi ich samodzielnie zaspokoić — którzy jednak zażądali dla siebie udziału w sportowej turystyce górskiej i za pomoc gotowi byli swoim sprawniejszym kolegom zapłacić. Mogło to nastąpić w dwojakiej formie: li tylko zwrotu kosztów, lub też formalnych gratyfikacyj finansowych.

W ostatnich czasach pojawili się wśród taterników przedstawiciele obu rodzajów zawodowstwa, przyczem czas sprzyjał wyraźnie rozwojowi pełnego profesjonalizmu. Z chwilą, gdy do grupy tych taterników przyłączyła się jednostka tak rzutka i wybitna tafernicko jak W. Stanisławski — sprawa, dotychczas puszczana samopas, została skierowana na drogę organizacji. O przebiegu wywiązanego »biegu rzeczy« czytamy osobny ustęp w »Taterniku« z b. r., str. 7. Wymienione w streszczonym tamże projekcie regulaminu obostrzenia kwalifikacji próbowali przewodnicy-górale osłabić na osobnej konferencji z przedstawicielami PTT; ale na posiedzeniu Zarządu Głównego PTT w dniu 11 czerwca b. r. podtrzymano pierwotne brzmienie regulaminu, który zatem wejdzie istotnie w życie, już w bież. sezonie letnim, w tej formie, w jakiej go poznaliśmy na cytowanem miejscu »Taternika«.

Na zakończenie, nie odmówmy sobie jeszcze udziału w tak wytrwale modnej »dyskusji o przyszłości taternictwa«: albowiem przyszłe losy owego przewodnictwa tatrzańskiego ściśle, mojem zdaniem, wiążą się z przyszłością t. zw. integralnego taternictwa. Uwypuklając cokolwiek przesadnie moją myśl: sądzę, że w niem właśnie leży klucz »tajemnicy przyszłości«. Z jego bowiem grona — obojętne, czy działającego formalnie czy w dalszym ciągu bezładnie i bez kontroli — będą wychodzili ludzie, podtrzymujący sprawność skalną na najwyższym poziomie, ubiegający się o coraz nowe rekordy taternickie (np. horyzontalne, czasowe, ilościowe i t. p.) i pomnażający konsekwentnie ideologiczne i rzeczowe współdziałanie taternictwa z innemi sportami. Z ich grona będą wychodzili zdobywcy odznak górskich, rekordziści sezonu, mistrzowie górscy Zakopanego, Tatr i Polski. I oni przedewszystkiem podtrzymają prężność zamkniętego w sobie taternictwa — gdy garść innych nie przestanie uganiać się za egzotyzmem wysokogórskim, wciskając same Tatry w wąskie i lekceważące ramy boiska. J. A. SZCZEPAŃSKI

PÓŁNOCNĄ ŚCIANĄ MAŁEGO KIEZMARSKIEGO SZCZYTU W ZIMIE

(ITINERARIUM)

Dnia 12-ego kwietnia 1933 r. przybyli podpisani do schroniska przy Zielonym Stawie Kiezmarskim z zamiarem zaatakowania północnych urwisk Małego Kiezmarskiego Szczytu. Tegoż dnia przeprowadzono rekonesans ściany, który wypadł całkiem pomyślnie. — Przejście dolnych urwisk miało się odbyć drogą znalezioną przez J. K. Dorawskiego, A. i J. A. Szczepańskich w 1929 r., a opisaną w „Taterniku" z 1930 r. str. 19, górnych — drogą Nr. 1126 Przew. J. Ch. i M. Ś. lub, w razie wielkiego olodzenia ściany, drogą zach. połacią pn. ściany, znalezioną przez H. Dębińską, A. i J. A. Szczepańskich w 1926 r. i również opisaną w cytowanem miejscu „Taternika".

Nazajutrz (t. j. dnia 13-ego kwietnia) wyruszyliśmy ze schroniska o 4^h 37', podejście trwało 35 min., po odpoczynku o 5^h 40' wstąpiliśmy na ścianę.

Odrazu na wstępie spotkało nas wielkie ośnieżenie i olodzenie. Wskutek tego posuwaliśmy się bardzo wolno. Po przejściu „poziomej, trawiastej, w środku przerwanej połeczki" o 10^h 10' stanęliśmy przed żłobiskiem potoku, tworzącego wspaniały, pionowy lodospad. Przetrawersowanie go zajęło nam 2 godz. 20 min. i stanowiło wraz z powyżej znajdującą się „wąziutką, 3 m długą, trawiastą półeczką" najcięższą partję drogi. Trudności tych dwu odcinków były istotnie nadzwyczajne — były to najtrudniejsze miejsca, jakie kiedykolwiek w zimie pokonaliśmy.

Dopiero o 16^h 10′ osiągnęliśmy początek łatwego terenu. Przejście zatem ok. 50 m kosztowało nas równo 6 godzin! Osiągnąwszy łatwy teren, posuwaliśmy się nim wciąż z odchyleniem w l. (a więc nie tak, jak droga letnia, zmierzająca w pr. poprzez grzbiet grzędy), aż do miejsca pierwszego biwaku, który rozbiliśmy o 19^h na piarżystej płasience, kilkadziesiąt m poniżej zachodów, któremi wiedzie droga Nr. 1126 Przew. J. Ch. i M. Ś.

Noc spędziliśmy w śpiworach i tylko okrywszy się namiotem, gdyż na jego rozbicie nie było miejsca. Noc była pogodna i dość ciepła. Odmarsz z biwaku nastąpił nazajutrz o 7^h 10′. Dotarłszy do drogi Nr. 1126 o 8^h 15′ — posuwaliśmy się nią, a dalej śniegami Niemieckiej Drabiny, aż do punktu, w którym odchodzi od niej droga zach. połacią pn. ściany. Tą drogą bowiem zdecydowaliśmy się pokonać górne urwiska, gdyż droga Nr. 1126 ze względu na wielkie olodzenie, zajęłaby nam zbyt wiele czasu, tembardziej, że zapowiadała się zmiana pogody. Początek drogi zach. połacią osiągnęliśmy o 11^h 30′. Nie napotkawszy większych trudności stanęliśmy o 13^h 50′ poniżej „20-metrowego progu". Przejście owego progu ukończyliśmy o 16^h .

W międzyczasie pogoda, która dotychczas nam sprzyjała, popsuła się w zupełności. Zjawił się ogromnie silny wiatr, który zmiatał ze ściany lawinki pyłowe i rzucał nam je w twarze. Ściany okryte mgłą. Mimo to posuwaliśmy się w dalszym ciągu i dopiero o 17^h 30′ zatrzymaliśmy się na niewielkim płacie śniegu, na drugi biwak. Tym razem dało się rozbić namiot.

Noc spędziliśmy bezsennie, przemoczeni do nitki, leżąc w schronieniu pełnem wody i śniegu, gdyż na dworze szalała potworna kurniawa, a namiot, jaki posiadaliśmy, był zupełnie nieszczelny. Nie mogąc przytem zapalić maszynki spirytusowej, gdyż wiatr zgasiłby ją nam momentalnie, lub co gorsza wywrócił, czekaliśmy na świt, pełni obawy, że za chwilę poprostu zostaniemy zdmuchnięci.

O 5^h 15′, borykając się z nieustającą kurniawą, zwinęliśmy biwak i zaczęli posuwać się wgórę. Po 2 godz. 25 min., a więc o 7^h 40′ zdołaliśmy wydostać się na pn.-zach. grań. Tu przywitał nas tak szalony orkan, że poprostu nie mogliśmy utrzymać się na nogach. Od wierzchołka dzieliło nas 40-50 m. Zadanie nasze było zatem spełnione: ściana puściła.

Nie znając drogi ze szczytu na Rakuską Przełęcz (Przewodnik zostawiliśmy przez zapomnienie w Zakopanem; o drodze na Rakuską Przełęcz wiedzieliśmy tylko tyle, że jest nieco trudna i bardzo długa) i sądząc, że bądź co bądź wiatr na ścianie będzie mniejszy, a równocześnie uważając, że droga, którą pokonaliśmy górne urwiska, nie nastręczy nam, przy użyciu lin, większych trudności, zdecydowaliśmy się schodzić tą ostatnią.

Rezygnując już zatem z dojścia do samego wierzchołka, zaczęliśmy o 7^h 45′ zejście. Powyżej owego „20 metrowego progu". [Próg ten posiada zresztą nieco większą wysokość; nie jest to nb. jedyna nieścisłość w opisie drogi zach. połacią pn. ściany. Opis zamieszczony w „Taterniku" jest przedewszystkiem zbyt lakoniczny i nie zawsze dokładny. Również podawany czas $1^1/_2$ godz. jest, zważywszy na teren i różnicę pokonywanych wysokości, bezwarunkowo za krótki[1])], pozostawiliśmy hak i linę zawiązaną „na głucho" i w ten sposób zjechaliśmy przez całą długość progu.

O 11^h 30′ dotarliśmy do śniegów Niemieckiej Drabiny. Nie napotkawszy już do końca żadnych trudności, o 14^h 30′ stanęliśmy zpowrotem u stóp pn. ściany, a 25 min. potem w schronisku nad Zielonym Stawem Kiezmarskim.

Przez cały czas naszej wyprawy temperatura nie przekraczała zapewne 5-ciu stopni poniżej zera.

ZBIGNIEW KOROSADOWICZ JAN STASZEL

Opisane powyżej, a niewątpliwie jeden z rekordów taternictwa stanowiące, zimowe zdobycie całej pn. ściany Małego Kiezmarskiego Szczytu (zarazem dopiero III. całkowite jej

---

[1]) W tej samej sprawie informują nas autorzy odnośnego opisu, że został on sporządzony na podstawie dwukrotnego przejścia ściany, i gruntownie skontrolowany. Zwięzłość jego wynikła natomiast z ogólnie we współczesnych opisach dróg górskich przejawiającej się tendencji możliwego skracania i upraszczania opisu do rzeczy najbardziej istotnych. Również i podany czas przejścia stwierdzony był dwukrotnie. PRZYP. RED.

przejście!) — w sposób szczególnie wymowny zbiegło się z inną rekordową wyprawą, na wsch. ścianie Ganku. W istocie, nie przypuszczaliśmy — omawiając w „Taterniku" z b. r., str. 41-42, „Sezon zimowy 1932/3 r." — aby akurat w tych samych dniach paść miały jeszcze dwa tak wspaniałe problemy zimowe, jak wymienione powyżej. W całym świecie turystycznym i sportowym wywarło zresztą ich zdobycie wielkie wrażenie. Taki np. „I. K. C." pisał o Małym Kiezmarskim aż trzykrotnie, najpierw — jeszcze niezbyt ściśle — w n-rze z 23 IV, później już jednak dokładnie w n-rach z 28 IV i 5 V. Z pochwałami pod adresem zdobywców wystąpiła również „Karpathen-Post" z dnia 22 IV. Opinja zaś ogółu taternickiego skłonna jest przyznać, że pokonanie dolnych urwisk tak pn. ściany Małego Kiezmarskiego Szczytu jak i wsch. ściany Ganku otwarło przed taternictwem zimowem nowe możliwości sportowe.

RED.

WYPADEK JERZEGO GOLCZA

Gdy niedawno („Taternik" z b. r., str. 20) pisaliśmy specjalnie o „szczęściu wysokogórców" — nie przypuszczaliśmy, że już wkrótce będzie ono musiało być wypróbowane akurat na najzuchwalszym polskim alpiniście — na Jerzym Golczu. Okoliczności jego zdumiewającego wypadku, i równie zdumiewającego szczęścia, były następujące:

W końcu kwietnia b. r. Golcz, wspólnie z W. Wyszyńskim, udał się w Pelvoux, celem dokonania jakichś wejść zimowych. Rozbito obóz w schr. Chatelleret 2225 m w Dol. Etançons. Tu Wyszyński zaniemógł wskutek silnego spalenia słońcem, mimo czego Golcz, lekceważąc nadomiar złą pogodę, w dniu 25 kwietnia wyruszył samotnie na Col du Pavé 3495 m, skąd — w znacznej części zupełnie nową drogą — dokonał I. wejścia zimowego na Le Pavé 3831 m [1]. Warunki terenowe i pogodowe były nadzwyczaj ciężkie, nadciągnęła silna kurniawa. Rezygnując już zatem z zamierzonego ataku na sąsiedni Pic Gaspard, Golcz zawrócił zpowrotem ku Col du Pavé, zamierzając oczywiście posługiwać się zjazdami. W czasie jednego z takich zjazdów, oberwał się blok skalny, na którym Golcz zaczepił linę. Nastąpił gwałtowny upadek na stromy pd.-zach. stok śnieżny pod Przełęczą Pavé i dalszy spadek na Lodowiec Etançons pod pd. ścianę Meije aż w linję spadku Brèche Joseph Turc. Już podczas spadania, rzecz jasna, utraciwszy przytomność — zleciał Golcz ogółem ok. 620 m; mimo tego nie utracił życia, zawdzięczając swoje szczęście miękkiemu, świeżemu śniegowi.

Na lodowcu przeleżał Golcz w omdleniu pełnych 12 godzin, t. j. całą najbliższą noc. Ocknąwszy się rankiem, nadzwyczajnym wysiłkiem woli zdołał się podnieść i powlec w dół Dol. Etançons. Tu, już przy samem Chatelleret, natknął się nań, zamierzający go właśnie poszukiwać, Wyszyński. Osobna ekspedycja ratownicza zniosła następnie Golcza z Chatelleret do La Bérarde, skąd przewieziono go do kliniki chirurgicznej w Grenoble. Stan fizyczny alpinisty okazał się nadspodziewanie pomyślny: ze swej niesamowitej przygody wyniósł on jedynie naruszenie kręgu szyi, pęknięcie dwóch żeber, oraz odmrożenia rąk i nóg, zakończone odjęciem wielkiego palca u lewej nogi.

Obecnie przebywa już Golcz w domu, w Lyonie. Jednomyślnie ślą mu polscy wysokogórcy gorące życzenia całkowitego powrotu do zdrowia i do możności zdobywania nowych laurów alpinistycznych.

* * *

Wypadek na Pavé był jeszcze jedną sensacją wysokogórską tak bogatego w wydarzenia schyłku ub. zimy. Pierwszą o nim wiadomość — wyjątkowo sumienną i dokładną — podał prasie polskiej lyoński oddział PAT. Niektóre pisma przyniosły później własne uzupełnienia tych wiadomości, np. „I. K. C." z dnia 12 maja, lub „Przegląd Turystyczny" z dnia 1 czerwca. PAT. również podała uzupełniające uwagi, w których przypominając dawniejsze zdobycze Golcza — słusznie nazywa go „czołowym alpinistą polskim".

K. R.

1) O tym wybitnym i nader trudno dostępnym szczycie w grupie Meije czyt. w „Taterniku" z 1931 r., str. 66. W sprawie ogólnego znaczenia sukcesu Golcza p. również str. 87 bież. zeszytu.

SKALNE DROGI

WIELKA BUCZYNOWA TURNIA. Warjant na pn. ścianie. Podpisany, z H. Kupczykówną, H. Sawiniczówną i L. Klimplem, dnia 14 lipca 1931 r.

Osiągnąwszy, drogą Nr. 127 Przew. J. Ch. i M. Ś., opisaną tamże „grzędę u podnóża ścian turni szczytowej", trawersujemy ok. 10 m w pr. poziomemi gzymsami w coraz bardziej odpychającej ściance (b. trudno) na dno „pn.-zach." żlebu, przecinając w nim drogę, opisaną w „Taterniku" z 1930 r., str. 37. Po przeciwnej stronie kilka m w pr. skos do płaskiego kotła. Nim wgórę po nieprzyjemnych, kruchych skałach, poczem po usypującym się piargu w pr. do ścianki, zbudowanej z olbrzymich, nawzajem o siebie zaklinowanych i pozornie grożących runięciem bloków. Rodzajem przewieszonej rynny między niemi kilka m wgórę (trudno; w decydującym momencie duży krok na daleko wysterczający i silnie eksponowany skrzyżal), poczem zasłaną ruchomym gruzem depresją w pr. wgórę na małe siodełko w zach. grani, tuż ponad miejscem, gdzie się od niej odgałęzia pn.-zach. filar Buczynowej Turni [1]). Stąd drogą Nr. 126 Przew. J. Ch. i M. Ś. na wierzchołek.

Warjant b. trudny, ale prostszy i bardziej zajmujący niż droga Nr. 127. W. BIRKENMAJER

MŁYNARZ I. zejście ku pd. wsch. Podpisany, z T. Pawłowskim, dnia 21 sierpnia 1930 r.

Pd.-wsch. stok Młynarza przerzynają dwa olbrzymie żleby, od pn. ograniczone wsch. granią Młynarza, zaś od pd.-zach. „charakterystyczną, ze stoków Młynarza ponad skraj Dol. Białej Wody wysuwajaca się, trawiastą, kopulastą bulą 1725 m" oraz „wypukłością grzbietu, łączącego ową bulę z masywem Młynarza" (por. opis pod Nr. 516 Przew. J. Ch. i M. Ś.) Oba żleby oddziela od siebie potężna, b. oryginalna, dokoła płytami skrzesana, do wysokiego kołpaka podobna, dotąd niezwiedzona i nienazwana turnia, którą stromy, siodlasty, gładko murawą obrośnięty stok łączy z masywem IV turni na wsch. grani Młynarza. Wobec tego oba żleby silnie różnią się od siebie. Orogr. lewy (pn.) z nich (którym biegnie droga zejściowa z Nawiesistej Turni, por. „Taternik" z 1931 r., str. 64, przyp. 1 [2]) jest z konieczności krótszy, stromszy i ciaśniejszy, podczas gdy orogr. prawy (pd.), główny żleb, o wiele dłuższy, łagodniej nachylony i szerszy, dosięga wyniosłej (silnie zresztą rozczłonkowanej) pd.-wsch. ściany szczytowej Młynarza, u stóp której rozwidla się w 2 obejmujące ramiona. Z nich orogr. lewe (pn.) przedstawia stromy, piarżysty korytarz, wybiegający na przełączkę powyżej IV Turni we wsch. grani Młynarza, natomiast orogr. prawe (pd.) wkrótce roztraca się w chaos trawiastych żlebków i rynien, uchodzących na wspomnianą wyżej „wypukłość grzbietu", którym biegnie droga Nr. 516 Przew. J. Ch. i M. Ś.

Z wierzchołka Młynarza kilka chwil drogą Nr. 516 do pierwszej rynny z l. strony, spadającej ze skalnego balkonu poza dwoma gładkiemi cyplami skalnemi. Nią wdół, na stromy trawniczek [3]), poczem zygzakiem wdół wśród labiryntu wiążących się z sobą, ciasnych i eksponowanych kominków, charakterystycznych tem, że ich dolne wyloty obrywają się 2-metrowemi ściankami, ku silnie nachylonym trawniczkom, zarośniętym długą śliską trawą, i bujnem kwieciem.

Osiągnąwszy dno głównego żlebu, nieco poniżej rozciętego wzdłuż wystającem z trawiastego podłoża żeberkiem, jednem (dowolnem) z obu w ten sposób powstałych, równoległych, i niebawem znów się łączących koryt, stromo wdół (zdradzieckie dziury między kamieniami, porośniętemi długą trawą) aż do miejsca, gdzie żleb staje się wąski, mokry i skalisty. Obniżamy się nim poprzez kilka progów, z których jeden, 10 m wysoki i zbryzgany wodą, przebywamy zjazdem, wreszcie osiągamy kolosalny, zaklinowany głaz, zapierający całą niemal szerokość żlebu. Poniżej niego żleb tworzy pionowy, ok. 60 m wysoki, z Polany pod Wysoką dość dobrze widoczny próg, przerżnięty płytowym kominem o równoległych ścianach. Nakrytą owym głazem, odstraszającą jego czeluść, w którą wpada potężna siklawa, obchodzimy gładkiemi i b. eksponowanemi płytami po pr. (pd.) stronie (dość trudno), starając się jak najmniej wznosić w górę i jaknajprędzej zejść na dno żlebu (najlepiej dojść połogą, choć zgóry niedostępnie wyglądającą, czerwono zabarwioną depresją, uchodzącą do żlebu

---

1) Krawędzią jego filaru wiedzie właśnie górna część drogi W. Birkenmajera i S. Gieszczykiewicza z dnia 10 sierpnia 1926 r., omówionej w „Taterniku" z 1931 r., str. 15. Według informacyj, udzielonych „Taternikowi" przez W. Birkenmajera, ta jego ówczesna droga rozpoczęła się w pn.-zach. żlebie, aby go zaraz — zresztą tylko zpowodu mgły opuścić, wchodząc w jego pr., niemal w linji spadku Przełęczy Nowickiego biegnące, kominowate odgałęzienie, którem wydostała się na pn,-zach. filar i nim na zach. grań Wielkiej Buczynowej Turni, drogą częściowo b. trudną, zresztą bez znaczenia.

2) gdzie jednak zakradł się błąd: zamiast „z przełęczy między II a III turnią" ma być: „z przełęczy między III a IV turnią".

3) Przypuszczalnie cały ten odcinek drogi jest indentyczny z końcowym odcinkiem drogi Nr. 515 Przew. J. Ch. i M. Ś.

z pr. (pd.) strony ok. 50 m poniżej progu). Zalegającem je piarżyskiem wdół do stóp wspaniałej czołowej krzesanicy wyżej wspomnianej nienazwanej turni, gdzie z orogr. lewej (pn.) strony uchodzi do naszego, „głównego“ żlebu ów drugi, krótszy żleb (wiedzie nim droga zejściowa z Nawiesistej Turni, zob. wyżej). Stąd po coraz większych głazach wdół do lasu i nim wygodnie wprost wdół na Polanę pod Wysoką (2 godz.). Droga prosta i praktyczna, miejscami dość trudna, krajobrazowo wspaniała, wiodąca zupełnie niezwiedzanym terenem i należąca do największych rozmiarami dróg tatrzańskich (różnica wysokości 860 m).

W. BIRKENMAJER

GANEK. I. wejście od wsch. („wsch. filarem“). Podpisani, dnia 15 lipca 1930 r.

Wspaniałą, ok. 800 m. wysoką [1]), wsch. (ściślej: wsch.-pn.-wsch.) ścianę trójwierzchołkowego masywu Ganków żłobi b. stromy, częściowo zawalony śniegiem, w górze kilkakrotnie rozwidlający się żleb (G na rys; wiedzie nim droga Nr. 573 Przew. J. Ch. i M. Ś.). Stosunkowo nisko łączy się on z drugim potężnym żlebem (A na rys.), zbiegającym z Gankowej Przełęczy [2]). Spływ obu żlebów tworzy gładką, mokrą i stromą (w dole nad śniegiem przewieszoną), ku pd.-wsch. (sic!) opadającą rynnę (C), którą z l. strony ogranicza wyniosła czołowa ściana t. zw. „pn. grzędy Rumanowego Szczytu“ (D), z pr. zaś b. charakterystyczna, ok. 150 m wysoka, dokoła płytami skrzesana [3]) bula (B), będąca końcowym punktem żebra M, ograniczającego żleb G od pn. [4]). Poza bulą znajduje się mała przełączka (P), z której spada ku pn.-wsch. b. wybitna, przeszło sto m długa depresja (E). Z pr. (pn.) strony uchodzi do niej „głęboka, trawiasto-skalista, u spodu podcięta (i rozpłaszczona) rynna“ (R), żłobiąca wzdłuż żebro M, a parokrotnie wspominana w opisie drogi Nr. 573.

Droga poniżej opisana wchodzi w ściany Ganku w omówionej depresji E. Dolna jej połowa tworzy b. stromą, kilkakrotnie przewieszoną, b. kruchą i źle uwarstwioną rynnę, której dno wypełniają oślizgłe, słabo przyrośnięte kępy mchu. Przebycie jej jest nadzwyczaj trudne i wytężające. Tuż przed jej górnym wylotem wielki eksponowany krok w pr. na pochyłą płytę, skąd pionową ścianką do wielkiego, trawiastego kotła (K) w $^{2}/_{3}$ wysokości depresji. Zgóry uchodzą doń cztery rynny. Najbardziej pr. z nich (kopczyk) po stromych trawach 30 m łukiem w l. wgórę na wzmiankowaną przełączkę P (kopczyk). Tu po raz pierwszy odsłania się nam widok na potężny, ok. 700-metrowy wsch. filar Ganku (F) rozgraniczający oba we wstępie opisane żleby A i G.

Z przełączki 5 m wdół na dno bliższego żlebu (G) i przeciwległem jego zboczem do najniższego punktu filara. U podnóża wielkiej trójkątnej załupy (dobrze widocznej już z progu Dol. Kaczej) trawiastym zachodzikiem 15 m w pr. wgórę na niewielki cypel (kopczyk). Stąd 10-metrowy poziomy trawers skalny w l. poniżej ogromnych bloków, poczem pęknięciami w sporej płycie (piękna wspinaczka) na duży trawnik. Omijając najbliższy ząb po jego l. stronie, skalisto-trawiastą rynną na wrótka w grzbiecie filara (kopczyk). Odtąd ten ostatni tworzy szereg zachodzących za siebie kulis (oddzielonych trawiastemi zachodami). Niemi w górę, w zależności od terenu omijając poszczególne żeberka i zęby po pr. lub l. stronie, wzgl. przechodząc je krawędzią. W połowie wysokości filara (minąwszy ogromny zachód trawiasty, Z. na rys., sięgający dna żlebu A) stajemy u stóp olbrzymiej turni (T), której jednolitem ostrzem (lub, lepiej, na l. odeń) w pięknej i b. eksponowanej wspinaczce do wieńczących ją czterech turniczek i do przełączki poza niemi [5]).

Tu filar się zatraca, przechodząc w b. stromą i początkowo odstraszającą ścianę szczytową Ganku, zbudowaną z potężnych, zwalonych na siebie bloków. Lawirując wśród nich, zasadniczo jednak wprost wgórę, na ząb w grani szczytowej Ganku, leżący bezpośrednio na pd. od kopca wierzchołkowego.

Droga w najniższej partji nadzwyczaj trudna, potem wciąż dość trudna, widokowo przepiękna i należąca do największych

---

1) Wymiar („ok. 700 m“) podany w Przew. J. Ch. i M. Ś. (tom III., str. 20) jest stanowczo za niski!

2) Żleb ten przebywa w całości, skrajnie (według informacyj zdobywców) trudna droga W. Stanisławskiego i J. Wójcika na Gankową Przełęcz z Dol. Kaczej z dnia 17 lipca 1930 r. — dochodząc doń jednak zupełnie zboku a mianowicie od drogi Nr. 573! Od przeciwnej [pd.] strony do tegoż żlebu — drogą częściowo b. trudną i zawikłaną, doszli, jeszcze dnia 7 sierpnia 1927 r., M. Szczuka i dr. M. Swierz — wchodząc w skały zwyczajną drogą na Rumanowy Szczyt z Dol. Kaczej [p. „Taternik“ z 1929 r., str 17] i zbaczając z niej w pr. — w miejscu, gdzie mija ona „charakterystyczny zrujnowany kompleks skał“ — aby, częściowo zapomocą kozich perci, zachodów i półek trawiastych, oraz krótkich ścianek, trawersować wpoprzek pn. urwisk t. zw. pn. grzędy Rumanowego Szczytu aż do wymienionego żlebu A już powyżej jego zbiegu ze żlebem C.

3] Wysoko, na jej pn.-wsch., płytowej ścianie rośnie piękny okaz limby.

4] Żebro to odgałęzia się ku wsch. od małej turniczki w pn.-wsch. grani Małego Ganku, w połowie odległości między tym ostatnim a Kaczą Turnią. Środkową partję tegoż żebra przekracza droga Nr. 573 Przew. J. Ch. i M. Ś., natomiast górną jego częścią posuwa się droga na Galerję Gankową z Dol. Kaczej, opisana w „Taterniku“ z 1929 r. str. 38.

5) Z przełączki tej — nieco trudnemi zachodami — można zejść na dno żlebu G, łącząc się z drogą Nr. 573. Warjant praktyczny, umożliwiający połączenie drogi Nr. 573 z głównym wierzchołkiem Ganku [W. Birkenmajer i K. Kupczyk, dnia 15 lipca 1930 r.].



GANEK OD WSCHODU (widziany z progu Dol. Kaczej). Według szkiców i fotografij rys. W. Birkenmajer. Podziałka: ok. 1 : 6000.

1 Rumanowy Szczyt
2 Gankowa Przełęcz
3 Ganek
4 Środkowy Ganek
5 Mały Ganek
6 Pn.-wsch. wylot Galerji Gankowej.

A Pn.-wsch. żleb Przełęczy Gankowej
B Bula
C Rynna (spływ żlebów)
D „Pn. grzęda" Rumanowego Szczytu
E Depresja
F Wsch. filar Ganku
G Żleb w pn.-wsch. ścianie Ganku
K Kocioł
M Żebro
P Przełączka
R Boczna rynna
S Śnieg
T Turnia
Z Zachód trawiasty.

. . . . droga Nr. 573 Przew. J. Ch. i M. Ś. (schem.)
○ ○ ○ ○ ○ droga na Galerję Gankową, opisana w „Taterniku" z 1929 r. str. 38.
— — — — — droga opisana obok, i warjant łączący ją z drogą Nr. 573 Przew. J. Ch. i M. Ś.
—··—··—·· droga na Gankową Przełęcz, i warjant łączący ją z drogą na Rumanowy Szczyt, opisaną w „Taterniku" z 1929 r. str. 17 — 19.
XXXXXX dojście do żlebu spadającego z Gankowej Przełęczy, opisane obok w przypisku 2).

UWAGA: Prócz uwzględnionych na rysunku dróg wiedzie jeszcze w objętym przezeń terenie droga, którą przybyli W. Birkenmajer i S. Groński w dniach 14 – 16 kwietnia 1933 r. Droga ta poczyna się od śniegu S, przechodzi w całości rynnę C i osiąga grzbiet buli B (na rys. w pobliżu przełączki P), gdzie nastąpił biwak. Stąd droga ta posuwa się jakiś czas filarem F, poczem zbacza wpr., przecina żleb G i sąsiadujące znim od pr. strony żebro, poczem — przekraczając następny z pr. strony żleb — wydostaje się na żebro M, którym już osiąga wylot Galerji Gankowej.

i najwspanialszych, lecz zarazem (z powodu rozmiarów ściany oraz trudności najniższej partji) najbardziej wytężających wypraw tatrzańskich. Orjentacja łatwa. Skała (z wyjątkiem rynny) lita. Czas pierwszego przejścia, 11 godz. (w czem przejście rynny 5 ½ godz.), może być wydatnie skrócony.

W. Birkenmajer K. Kupczyk

KACZY SZCZYT l. wejście pn.-wsch. ścianą. Podpisani, dnia 22 lipca 1930 r.

Północna, ku Dol. Kaczej opadająca, strona Kaczego Szczytu dzieli się przedewszystkiem na dwie zupełnie odrębne ściany: pn.-zach. i pn.-wsch., które rozgranicza pn. grzęda Kaczego Szczytu (wiedzie nią droga Nr. 661 Przew. J. Ch. i M. Ś.). Zkolei, wpośrodku pn.-wsch. ściany występuje wyraźna, kulisowata grzęda, rozdzielająca ścianę na dwie odrębne połacie: pr. (nią, oraz dopiero co opisaną kulisowatą grzędą, wiedzie droga J. Gnojka i S. Motyki, znaleziona dnia 23 lipca 1930 r.) oraz l. Niżej opisana droga — por. również rys. w „Nowych Drogach", zesz. II., str. 9 — prowadzi właśnie tą lewą (pd.) połacią pn.-wsch. ściany Kaczego Szczytu.

Żlebem, spadającym z Kaczej Przełęczy ok. 50 m wgórę aż poza linję spadku głębokiego, prawie w żleb przechodzącego komina, przerzynającego ścianę przez całą jej wysokość. Pd. stronę tego komina ogranicza druga, mniej wyraźna lecz dość daleko wrzynająca się w piarg grzęda. Ze żlebu b. kruchą rynną 45 m wskos wpr. na siodełko w owej grzędzie i dalej grzbietem grzędy 40 m wgórę w zygzak na drugie siodełko, skąd kilka m wpr. poprzez dziwaczne, odpęknięte bloki do stromej 3-metrowej rynny. Nią wgórę na trawiasty zachodzik, którym 50 m poziomo w pr. i niemi (b. trudny, ryzykowny krok) na dno omówionego komina.

Odtąd kominem tym nieco trudno wgórę (napotykając w nim tylko jeden, b. trudny, kilka m wysoki próg) — aż pod blok szczytowy, gdzie komin rozwiera się w kocioł. Pr. jego odnogą na małe siodełko w rozdzielającej ścianę kulisowatej grzędzie i po przeciwnej stronie łatwym, skalisto-trawiastym terenem wprost na wierzchołek (który można też osiągnąć stromą rysą wprost z kotła; jest to jednak b. trudne). Od wejścia w skały ok. 2½ godz.

Droga nieco trudna, z dwoma miejscami b. trudnemi, wiądąca po ogromnie kruchej skale.

W. Birkenmajer S. Groński

GRANIASTA PRZEŁĘCZ. I. wejście od pd.-wsch. Podpisany, dnia 1 sierpnia 1930 r.

Spadającą z przełęczy ku piargom Dol. Staroleśnej, stromą ścianę żłobi pionowy łańcuch kominów, który naogół wytycza drogę. Wejście w skałę 10 m na l. od miejsca, gdzie żleb, spadający z Rówienkowej Przełęczy (sic) nagle się rozszerza, przechodząc w stożek piargów. Kilka m wgórę (nieco trudno) do ujścia mokrego pionowego komina o złem uwarstwieniu. Dolną jego połowę (ok. 8 m) obchodzimy łukiem po l. stronie (nieco trudny, skalisto-trawiasty teren), górną albo przebywamy jej dnem (b. trudno), albo również obchodzimy łukiem po l. stronie. Nad nami ogromny, falisty zachód trawiasty, wpoprzek którego wzwyż do skalnej ostrogi. Nad nami 3 kominy. Albo środkowym z nich 15 m (z czego najwyższe 4 m b. trudno i ryzykownie), albo lewym, przyczem najpierw jego l., kulisowatą ścianką (dość trudno), potem przetrawersowawszy jego dno, łukiem w pr. po skałkach i trawkach, nakoniec wpoprzek potrzaskanego żeberka, na drugi trawnik, którym 10 m w pr. wskos na przełęcz. Droga krótka (½ godz.), dość urozmaicona i efektowna, w zależności od obranych warjantów dość lub b. trudna.

W. Birkenmajer

POŚREDNIA GRAŃ. I. wejście od pd.-wsch. Podpisani, z M. Dubielewiczówną, H. Sawiniczówną i L. Klimplem, dnia 14 lipca 1932 r.

Pd.-wsch. zbocza Pośredniej Grani żłobi potężny żleb, równoległy do żlebu, którym wiedzie droga Nr. 947 Przew. J. Ch. i M. Ś. W dole jest on podcięty kilkudziesięciometrowym progiem, z którego skacze siklawa. Dlatego też wejście w skały z piarżyska u początku drogi Nr. 947. Płytkiem, trawiastem korytem silnie w pr. na porośnięte kosówką siodełko w grzędzie, skąd piarżystą, kruchą i eksponowaną kozią percią na dno naszego żlebu. Nim w górę do ogromnej nyży. Poprzez nieco trudny próg na pr. od niej i od siklawki — wgórę, i dalej żlebem do drugiego progu z zaklinowanych głazów. Ponad nie, częściowo tunelem pod nimi, poczem po piargach do następnego, ogromnego głazu, i albo nadal dnem żlebu, albo skałkami z pr. strony (ekspozycja) i zpowrotem do żlebu, skręcającego tu ku pn. 80 m niżej końca żlebu trawiasto-skalistym terenem 30 m w l. na pr. grzędę wyraźnej, chociaż wąskiej, płytowej, ponad 100 m wysokiej depresji, ciągnącej się ku szczytowi w przedłużeniu dolnej części żlebu.

Grzędą, lub tuż na pr. od niej, 60 m dość trudno na trawiaste tarasy, któremi 50 m w pr. do wylotu wybitnego, 10-metrowego pęknięcia, miejscami prawie 1 m szerokiego.

5 m na pr. od jego wylotu ścianką 2 m wgórę i trudnym trawersem poziomo w l. do pęknięcia, tuż za zaklinowanym głazem, poczem pęknięciem tem wgórę aż do jego końca (dobre stanowisko asekuracyjne). Teraz skośnie w pr. trawiasto-skalistym żlebkiem po kilkudziesięciu m na grzbiet bocznego żebra wsch. grani Pośredniej Grani, w miejscu, w którem osiąga go również — z pomocą rysy, po 35 m obniżenia się — wiodąca wsch. granią droga Nr. 951 Przew. J. Ch. i M. Ś. Nią na wierzchołek (od schron im. Téry'ego ok. 5 godz.).

Droga częściowo trudna i eksponowana.

W. Birkenmajer S. Groński

CIEMNIASTA TURNIA. I. zejście ku pd. Podpisany, dnia 14 czerwca 1930 r.

Ciemniasta Turnia opada ku Dol. Staroleśnej trzema nierównemi piętrami, z których górne obejmuje górną połowę wysokości całej ściany, tworząc plątaninę trawiastych rynien i stromych żeber — środkowe, pokryte „bystremi trawnikami", stanowi „b. stromą, bujną trawą porosłą ścianę", wzmiankowaną w opisie drogi Nr. 966 Przew. J. Ch. i M. Ś., — a wreszcie dolne, sięgające do wylotu żlebu, którym wiedzie droga Nr. 977 Przew. J. Ch. i M. Ś., i zajmujące najniższą ćwierć wysokości całego masywu, składa się z szeregu zupełnie pionowych, a nawet miejscami poprzewieszanych płyt wys. 1—2 m, grub. 1—2 dm, tworzących jakgdyby nadzwyczaj strome schody, ponakrywane poziomemi paskami darni.

Przebycie piętra górnego (w zygzak) i środkowego (wprost wdół) nie nastręcza trudności technicznych, jest jednak dość zawikłane i mało zajmujące, oraz z powodu śliskich traw wymagające ostrożności. Przebycie piętra dolnego jest — mimo znakomitego naogół uwarstwienia — b. trudne i ryzykowne lecz zato ogromnie oryginalne i efektowne. Przejście całej ściany w zejściu (samotnie!) trwa ok. 2 godz.

W. Birkenmajer

PIĘCIOSTAWIAŃSKA TURNIA. I. wejście od pn. Podpisani, z M. Skotnicówną, dnia 8 sierpnia 1929 r.

Z omówionej w Przew. J. Ch. i M. Ś. pod Nr. 1072 piarżystej terasy — wpr., do mokrej rynny, którą łatwo w górę (obchodząc z pr. strony przewieszkę) na występującą powyżej piarżystą platformę. Rysującem się teraz z pr. strony żebrem dłuższy czas wgórę (pod koniec dość trudno) aż na obszerną, piarżystą galerję u dolnej krawędzi olbrzymich, gładkich płyt. Na pr. od nich, gładkiem zacięciem pomiędzy płytami a ścianką przedłużenia żebra, w pięknej, częściowo trudnej wspinaczce wgórę ponad płyty, do początku wielkich, piarżystych półek, biegnących w l. ku Sępiej i Czubatej Turni — u stóp, dopiero tu wyodrębniającej się, ściany szczytowej Pięciostawiańskiej Turni. W ścianie tej rysuje się wąska, w prawo zwrócona półeczka, oddzielona od nas pasem przewieszonych skał. Najwyższą z piarżystych półek pod przewieszki i jeszcze parę m w l. poza krawędź, poczem wprost wgórę ok. 6 m na dogodne stanowisko (u dołu podwieszony, b. trudny stopień). Teraz listwą skalną, parę m poziomo w pr. i 4 m wdół b. kruchym, krótkim kominkiem, na dolny koniec wspomnianej wąskiej półeczki, już ponad jej obrywem. Półeczką ok. 10 m wgórę do miejsca, skąd wpr. wdół odchodzi nowy kominek, skąd albo półeczką pod odpychającemi skałami aż do jej końca, pod strome i wąskie zacięcie, którem wgórę na pn.-zach. grań Pięciostawiańskiej Turni, tuż w pobliżu jej wierzchołka (b. trudno) — albo też wspomnianym wyżej kominkiem znowu kilka m wdół (nieco trudno) i, z dogodnego stanowiska, dość trudno wgórę kominkiem (którego przedłużeniem jest scharakteryzowane powyżej wąskie zacięcie) poczem położoną na pr. odeń płytką i łatwą rynną, również na pn.-zach. grań Pięciostawiańskiej Turni, tuż obok niewielkiego wcięcia Pięciostawiańskiej Przełączki (dość trudno).

Droga wiodąca terenem nadzwyczaj rzadko zwiedzanym, w górnej części interesująca. Czas jej przejścia: 3 godz.

W. Birkenmajer J. K. Dorawski A. Szczepański J. A. Szczepański

SPRAWY SEKCJI

Stypendjum im. W. Birkenmajera.

Na swem posiedzeniu w dniu 4 maja b. r. uchwalił Zarząd Sekcji przedłożyć najbliższemu Walnemu Zebraniu Członków wniosek o utworzenie stałego Stypendjum im. Wincentego Birkenmajera, przeznaczonego na ułatwianie taternikom działalności wysokogórskiej, przyczem (na posiedzeniu w dniu 9 czerwca) uchwalił już w bież. sezonie wyasygnować na cel powyższy 100 zł. Ponieważ z gotowością stworzenia zupełnie analogicznego stypendjum zgłosili się do Zarządu Sekcji również i prywatni ofiarodawcy — ogólna kwota stypendjum im. W. Birkenmajera będzie w roku przyszłym znacznie większa, i zo-

stanie rozdzielona na kilka osobnych stypendjów. O tegoroczne stypendjum wnosić mogą podania młodzi taternicy (także i niecziońkowie Sekcji), na ręce Zarządu; powinny one być opatrzone poleceniem dwóch członków Sekcji.

Nowi członkowie i zgłoszenia członków.

P. Marjan Kozik (Zakopane) został przyjęty w poczet członków Sekcji. — Podanie o przyjęcie w poczet członków Sekcji wnieśli pp. dr. Krystyna Sinkówna (Kraków) oraz prof. Paweł Vogel (Ostrowiec Kielecki).

KARTA ŻAŁOBNA

† **Ludwik Amadeusz Sabaudzki, książę Abruzzów,** największy alpinista włoski, zmarł w kraju Somali w dniu 18 marca 1933 r., przeżywszy lat 60. Książę Abruzzów, mający również tytuł księcia Aosta — wnuk króla włoskiego Wiktora Emanuela II., a syn króla hiszpańskiego Amadeusza — był, jeszcze przed wojną, głównym organizatorem kolonizacji w Somali, w czasie wojny naczelnym admirałem adrjatyckiej floty włoskiej, w ostatnich latach naczelnym kierownikiem całej polityki kolonjalnej swego kraju. Ale jego właściwem powołaniem życiowem był alpinizm — który też uprawiał nader wszechstronnie, konsekwentnie i z wielkim rozmachem sportowym. Rozmiary zaś środków finansowych, stojących mu do dyspozycji, sprawiły, że jego dorobek na tem polu jest jedyny w swoim rodzaju i wyjątkowo świetny.

Z pośród wielu wypraw Księcia Abruzzów tych pięć przynajmniej musi pamiętać każdy alpinista: 1) A l a s k a 1 8 9 7 r. Dnia 31 lipca t. r. zdobywa Książę, już czterokrotnie dawniej atakowaną, Mt. St. Elias 5514 m. Prowadzi go czterech przewodników szwajcarskich, a towarzyszą mu Umberto Cagni, Filippo de Filippi, Enrico Gonella i Vittorio Sella, stali uczestnicy jego wypraw. — 2) A l p y 1 8 9 8 r. Książę zwiedza przedewszystkiem grupę Mont Blanc, gdzie dnia 16 sierpnia zdobywa Aiguille Sans Nom 3989 m, a dnia 22 sierpnia Szczyt Małgorzaty 4066 m w Grandes Jorasses. — 3) A r k t y k 1 8 9 9 r. Na okręcie norweskim *Stella Polare* wyrusza Książę na szlak Nansena, ale w dalszej drodze doznaje ciężkich odmrożeń (odjęto mu wówczas dwa palce u nogi) i tylko Cagni dociera pod 86°34' szer. pn. osiągając punkt najbliższy w owym czasie Bieguna Północnego. — 4) R u w e n z o r i 1906 r. Legendarne Góry Księżycowe były do tego czasu zupełnie jeszcze nieznane. Wyprawa włoska przeprowadziła ich dokładne badania, Książę zdobył Szczyt Humberta w masywie Emin, Szczyt Wiktora Emanuela w masywie Speka, Szczyt Heleny, Szczyt Ludwika[1]) i (dwukrotnie) Szczyt Aleksandra w masywie Stanleya, nakoniec (dnia 18 czerwca) również najwyższe wzniesienie tych gór, Szczyt Małgorzaty 5125 m. — 5) H i m a l a j e 1909 r. Atakowano tu przedewszystkiem K_2 i K_8, oraz Bridge Peak 7654 m, gdzie też w dniu 18 lipca t. r. dotarł Książę do wysokości 7493 m, osiągając ówczesny rekord wysokości.

W sposób nieporównany wyprawy te opisywał de Filippi, a fotografował Sella. W 1933 r. działalność odkrywcza ich mocodawcy była już niewątpliwie skończona, ale jeszcze do ostatnich lat instynkt podróży wiódł go przez lądy i morza (np. w 1932 r. wpoprzek górskich terenów Etjopji, nieraz na wysokość 4500 m). Instynktowi temu był wierny przez całe życie, i — jak widzieliśmy — ze skutkiem niezwykłym. To też nawet gdy już zaginie pamięć o różnych królach i władcach — nazwisko L u i g i A m e d e o d i S a v o i a dźwięczeć będzie donośnie i lśnić pełnym blaskiem zasług cywilizacyjnych i odkrywczych.

† **Dr. Umberto Balestreri,** prezes Akad. Klubu Alpejskiego w Turynie, zginął w dniu 16 kwietnia b. r. w grupie Bernina, wpadłszy do szczeliny lodowcowej. Zmarły był jednym z najczynniejszych alpinistów włoskich młodego pokolenia, prócz szeregu wypraw w Alpach miał w swej karjerze olpinistycznej również udział w ekspedycji Księcia Spoleto (1930 r.) w Kaila Karakorum, gdzie m. i. dokonał I. w. na Cheri Chor 5450 m.

† **Paweł lord Methuen,** ur. w 1845 r., feldmarszałek i swego czasu gen.-gubernator Malty, zmarł dnia 30 października ub. roku. Zmarły był członkiem honorowym Alpine Club'u, znanym — m. i. — z II. trawersowania Domjoch, oraz z próby I. w. na Meije (1875 r.; por. „Taternika" z 1931 r., str. 120).

Wypadek na pn. ścianie Königsspitze. Z końcem czerwca ub. roku zginęli, podczas próby I. w. wprost pn. ścianą na Königsspitze 3857 m w grupie Ortleru, znani alpiniści niemieccy Hans Huber i Gustaw Lettenbauer. Huber miał za sobą – m. i. — III. prz. wsch. ściany Mont Blanc, Lettenbauer I. prz. pn.-zach. ściany Civetta (wraz z E. Sollederem).

Czterech robotników — pracowników fabryki maszyn w Rostowie — zaginęło bez śladu w lecie ub. roku na sławnej kaukazkiej Uszbie.

---

[1]) Nazwany tak, na cześć Księcia, przez Król. Tow. Geograficzne w Londynie. Imię Pic Luigi-Amedeo nosi również szczyt 4469 m w masywie Mont Blanc de Courmayer.

KRONIKA ALPINISTYCZNA

O 150 metrów od wierzchołka! Z największem napięciem cały świat śledzi obecnie dramatyczne zmagania się Anglików z fantastycznemi trudnościami Szczytu Świata. Wyprawa sir Ruttledge'a dotarła już w kwietniu do stóp Everestu i rozpoczęła systematyczne forsowanie góry. Wedle najnowszych, dotychczas jednak tylko dziennikarskich wiadomości, założono na wys. 8 tysięcy m obóz szósty, z którego rozpoczęto systematyczne, właściwe ataki. Narazie mieli dojść najdalej E. E. Shipton i F. S. Smythe, który w dniu 19 maja mieli dotrzeć jakoby do wys. zgórą 8700 m, osiągając tem samem nowy rekord wysokości. W chwili zamknięcia zeszytu nadeszły jeszcze dalsze wiadomości, o wycofaniu się ekspedycji, zpowodu nadciągnięcia monsumu, do Rongbuka; ale los Everestu nie jest jeszcze przesądzony, gdyż zpoczątkiem września raz jeszcze ponowi wyprawa angielska swoje ataki.

Najwyższy szczyt Z. S. S. R., Pic Garmo w Trans-Ałaju (7500 m) zdobyła ekspedycja rosyjska pod wodzą naczelnego prokuratora sowieckiego sądu najwyższego, M. W. Krylenki, w dniu 26 sierpnia ub. roku. Dopiero obecnie nadeszły wiadomości o tym wspaniałym sukcesie alpinizmu egzotycznego.

Nieznanym niemal do ostatnich czasów, choć tuż nad Czarnem Morzem, na pd.-zach. od Batum położonym, g ó r o m L a z i s t a n u (Kaszgar-Dagh) poświęcona była w roku ub. 11-osobowa wyprawa znanego podróżnika monachijskiego, Brecht-Bergena, także częściowo finansowana przez D. u. Oe. A-V., — w której wziął również udział W. Rickmer-Rickmers. Dnia 24 sierpnia zwiedzono najciekawszy szczyt tej grupy, Warszambek 3560 m. Wyprawa ta, w ciągu trzech ostatnich lat, była już czwartą zrzędu wyprawą niemiecką do tych pięknych i dzikich, Tatrom podobnych gór. G. Fochler Hauke w 1930 r. dokonał tutaj I. w. na Demir Dagh 3100 m, w tymże roku Brecht Bergen I. w. na Warszambeka, w 1931 r. trzej młodzi alpiniści, J. Böhmer, L. Krenek i L. Sperlich przeszli w dniach od 7 do 24 sierpnia niemal cały łańcuch tych gór, dokonując dziesięciu wejść szczytowych, m. i. na Demir Dagh, Warszambeka, Szczyt nienazwany 3430 m, i wreszcie na najwyższy szczyt masywu, Kawron Dagh 3800 m (por. „Der Naturfreund", zesz. z lutego i czerwca 1932 r., oraz „Oesterreichische Alpenzeitung", zesz. z maja 1933 r.).

Warto zwrócić nieco uwagi na zeszłoroczną wyprawę niemiecką w Atlas marokański, o której pisaliśmy już — lecz niedokładnie. W wyprawie tej (por. długie opisy w styczniowych zeszytach *Deutsche Alpenzeitung* oraz *Oesterreichische Alpenzeitung*) wzięło udział czterech młodych alpinistów (A. Heckmair, G. Kröner, A. i F. Möhn'owie), którzy ją zaimprowizowali za zbiorową kwotę 1100 mk niem. Po podróży rowerami z Monachjum do Barcelony — pociągami, okrętem, autobusami i na mułach przenieśli się przez „marokańskie Chamonix" Asni (1000 m) do schroniska CAF w wiosce Arround (1980 m), skąd — w dniach 26—30 sierpnia ub. roku — dokonali I. w. od pn.-wsch. oraz I. w. zach. granią na Dżebel Toubkal 4165 m, I. w. pd.-wsch. granią na Amgharas n' Iglioua 4040 m, oraz I. prz. zach. ściany i II. prz. głównej grani Agoudel n' Mzier 4100 m. Drogi były częściowo b. trudne. Największą trudnością: zbyt forsowna aklimatyzacja i niemal tropikalne nasłonecznienie. Pieniędzy starczyło, koszta prowiantu w Asni były „aüsserst anständig". 1100 mk niem. = 2230 zł. Chcemy podkreślić, że w dzisiejszych warunkach jest Atlas najlepszym celem dla wypraw względnie niekosztownych a już o charakterze pół-egzotycznym, mogącym być wyborną szkołą dla organizowania wyprawy egzotycznej w wielkim stylu.

O alpinizmie belgijskim w 1932 r. mieliśmy już sposobność pisać w „Taterniku" z b. r., str. 19. Należy stwierdzić, że alpinizm ten znajduje się w całkiem specjalnem położeniu, skoro czynną turystykę alpinistyczną uprawiają zarówno król belgijski jak i następca tronu, książę Brabantu Leopold (w ub. r. ks. Leopold zwiedzał Dolomity, gdzie m. i., pod przew. E. Comici'ego, dokonał krańcowo trudnego III. w. wprost na Torre del Diavolo 2622 m). Pełny sukces odniosła wyprawa belgijska w Ruwenzori, wspaniale wyposażona technicznie i finansowo: dnia 23 lipca zdobyto Kraepelin 4792 m, dnia 28 lipca Pointe Albert 5100 m — nowemi drogami (od strony zach.) dokonano wejść na szczyty: Małgorzaty 5125 m, Aleksandra 5105 m, Wiktora Emanuela 4901 m i Moebius 4225 m. Wyróżnili się w tych działaniach W. Ganshof van der Meersch, J. de la Vallée-Poussin, H. de Schryver, X. de Hemricourt de Grunne (kierownik wyprawy) i i., przedewszystkiem jednak przewodnik Józef Georges, który też dnia 1 sierpnia dokonał (z Ganshofem i Schryverem) najtrudniejszej wspinaczki wyprawy: I. w. zach. ścianą na Pointe Hélène 4982 m.

O alpinizmie niemieckim w 1932 r. mieliśmy już sposobność niejednokrotnie mówić w ost. zesz. „Taternika". Krótkie zresumowanie jego wyników skłania do stwierdzenia, że jest to alpinizm przodujący dziś światu: Himalaje, Kordyljery — prócz tego Atlas, całe Alpy, nawet Tatry — w każdych górach, które zwiedzają, wykazują Niemcy swą wysoką klasę sportową. Z wycieczek ub. r., o których nie wspominaliśmy jeszcze w „Taterniku", cytujemy: I. prz. zach. krawędzi Tieflimauer (dr. I. Pany i K. Reiffschneider), I. prz. pd. filaru Saulspitze (E. Mille, R. Klose i W. Blechschmidt), I. prz. pn.-zach. ściany Aiguille de Rochefort

(H. Bratschko i dr. K. Rupilius), III. prz. pn. ściany Dachlu (H. Bratschko, K. Schreiner i H. Stangl) — przedewszystkiem jednak dwie wspaniałe zdobycze F. Kasta i W. Stössera na Bietschhornie 3953 m: jego pn.-zach. ścianę (dnia 7 sierpnia) i jego pd.-wsch. grań (w dniach 9—11 sierpnia). Również najwyżej stoi, i największą ilość perjodyków wykazuje niemieckie czasopiśmiennictwo alpinistyczne. Niemcy mają przedewszystkiem *Zeitschrift des D. u. Oe. A. V.* (odpowiednik naszych *Wierchów*), dalej *Mitteilungen des D. u. Oe A. V.* (odpowiednik *Przeglądu Turystycznego*) — a *Taternikowi* odpowiada u nich zgoła cały szereg miesięczników. Pozatem mają oni jednak nawet popularną gazetę dla szerokich rzesz turystów górskich (tygodnik *Allgemeine Bergsteiger Zeitung*) i liczne wydawnictwa specjalne, różnych klubów, oddziałów i sekcyj. Jeżeli zaś chodzi o ich główną organizację górską, D. u. Oe. A. V., wiadomo, że jest to najsilniejsze towarzystwo górskie na świecie.

Głośną i wielokrotnie atakowaną zach. ścianę Aiguille méridionale d'Arves 3514 m — umiłowanego szczytu Coolidge'a (por. „Taternik" z 1928 r., str. 13) — zdobyli dnia 11 lipca 1932 r. Anglicy J. L. Longland i P. Lloyd.

Wysokogórski sezon zimowy 1932/3 r. Ub. zima we wszystkich górach europejskich zaznaczyła się dwoma wyraźnemi klimatycznemi okresami: wczesną zimą, nadzwyczaj łagodną, ciepłą i skąpą w opady — i późną zimą, całkowitem przeciwieństwem pierwszego okresu. To też wybitnych rezultatów sportowych niemal nie mamy z tego okresu do zanotowania: w grudniu i styczniu chodzono na różne skalne wspinaczki, w warunkach niemal letnich; chcemy tu wymienić I. w. z. na nader trudną Aiguille Dibona 3130 m w Pelvoux (dr. Guyot z C. Rodier'em i A. Richard'em). W marcu i kwietniu większość wypraw załamywała się o niepomyślne warunki atmosferyczne. Z okresu tego, może czytelnika polskiego zainteresować specjalnie wiadomość, że z początkiem marca Melinda Bacsanyi'ówna, Olga Zawilińska i Aleksander Skarvan dokonali I. w. z. pn. ścianą na Dżumbir 2045 m w Niżnych Tatrach, co było zarazem wogóle II. w. tą ścianą.

W tych warunkach wielki sukces Jerzego Golcza na Pavé w Pelvoux musi być bezwzględnie uznany za najpiękniejszy sukces alpinistyczny okresu.

NOTATKI

60-lecie PTT obchodził polski świat turystyczny w Zakopanem w dniu 7 maja b. r. (dzień po dorocznym Zjeździe Delegatów). Odbyło się uroczyste posiedzenie, uczestnicy obchodu wzięli też udział w szeregu imprez i pokazów. Ton obrad nastrojony był — i słusznie — na nutę pełnego zadowolenia z minionego okresu. PTT dobrze gospodarzy w polskich górach, i niewątpliwie jedynym tych gór gospodarzem — pozostanie.

My, wysokogórcy, musimy z omawianych uroczystości podkreślić specjalnie programowe przemówienie prof. W. Goetla, który zwrócił uwagę na dwa naczelne współcześnie zagadnienia w pracy PTT: na ochronę przyrody, oraz na alpinizm polski i, wynikłą zeń, współpracę PTT ze światem alpinistycznym Zachodniej Europy. Znakomita zarówno rzeczowo jak retorycznie mowa prof. Goetla uzmysłowiła już chyba wszystkim uczestnikom obchodu wagę tych zagadnień, i nie wątpimy, że pociągnie za sobą daleko sięgające skutki. Dziś bowiem, niestety, nieraz jeszcze bywa polski ruch wysokogórski niedoceniany i zbywany w ramach ogólnej gospodarki PTT. Oficjalne i uroczyste wystąpienie prof. Goetla niewątpliwie zmieni ten, przedewszystkiem dla samego PTT niekorzystny stan rzeczy.

Z pośród innych uchwał obchodu, mogących specjalnie zainteresować czytelników „Taternika", należy zacytować postanowienie budowy pomnika ku czci Klimka Bachledy, i wstawienie na ten cel do budżetu 10 tys. zł. Lista nowo-mianowanych członków honorowych T-wa wykazuje również trzech członków STPTT (prof. W. Goetel, prez. S. Osiecki, oraz gen. M. Zaruski), oraz J. Escarrę, obecnego prezesa CAF.

Wieczór ku czci W. Birkenmajera odbył się w Poznaniu w dniu 30 maja b. r. staraniem miejscowego Oddziału PTT, oraz TNSW. Na wieczorze omówił m. i. S Groński znaczenie Zmarłego jako taternika, alpinisty i teoretyka sportu wysokogórskiego, ilustrując swój odczyt licznemi przeźroczami

Picacho Veleta 3471 m, drugi zrzędu pod względem wysokości szczyt hiszpańskiej Sierra Nevada, zwiedził na samotnej wycieczce w dniu 2 czerwca b. r. znany turysta, dr. M. Orłowicz. Jest to, o ile nam wiadomo, pierwsze wejście szczytowe na Półwyspie Iberyjskim dokonane przez Polaka.

Odznaczenia alpinistów. Ostatnio otrzymało we Francji złoty medal „Education Physique" trzech przewodników (J M. Banc, A. Charlet i C. Rodier) oraz siedmiu alpinistów (A. Bournet, P. Dalloz, J. Escarra, J. Lagarde, J. de Lépiney, M. Paillon i H. de Segogne) W Polsce został dr. Kazimierz Piotrowski, prezes STPTT, odznaczony złotym krzyżem zasługi za wybitną działalność na polu lotnictwa cywilnego.

Przelot nad Himalajami. W dniach 3 i 4 kwietnia b. r. uzyskało lotnictwo nowy wspaniały sukces w lotach nad górami: specjalna ekspedycja lorda Clydesdale'a (2 samoloty) przeleciała w owych dniach szczęśliwie nad dwoma największemi wzniesieniami świata, Mount Everestem i Kańczendzengą. Poczyniono wiele obserwacyj naukowych i wykonano wiele cennych zdjęć. W dniu 19 kwietnia ponowiono lot nad Everest, uzyskając jeszcze lepsze lotnicze i fotograficzne wyniki.

Nowa próba usystematyzowania trudności skalnych. Swego czasu — „Taternik" z 1931 r., str. 21 — pisaliśmy już o „skrajnem" zamieszaniu w zakresie klasyfikacji trudności skalnych dróg alpejskich. Sąd nasz w zupełności potwierdził „Der Bergsteiger" ze stycznia b. r. artykułem wytrawnego „Fachmann'a" skalnego, Wiedeńczyka K. Poppingera, o alpejskich drogach wapiennych. W zakończeniu artykułu dr. Poppinger usiłuje usystematyzować trudności omówionych dróg. Wobec analogicznych usiłowań polskich w zakresie zbudowania nowej skali trudności wspinaczek tatrzańskich, warto przypatrzeć się również interesującej próbie niemieckiej.

Poppinger szereguje w logiczny ciąg trudności tylko poważne przejścia, od trudnych wgórę. Każdy stopień trudności dzieli na dolną granicę i górną granicę. Po drogach trudnych następują bardzo trudne (*dolna granica:* pn. ściana Triglavu, *górna granica*: pd. ściana Marmolaty), zkolei nadzwyczaj trudne (*überaus schwierig*) (*dolna granica*: pn. ściana Laliderer, droga Fiechtla na pn. ścianie Einseru, *górna granica:* wsch. ściana Fleischbank, droga Dibony na pn. ścianie Einseru, droga Dülfera na zach. ścianie Totenkirchlu [por. „Taternika" z 1913 r., str. 114], następnie krańcowo trudne (*äusserst schwierig*) (*dolna granica:* pn. ściana Spiku [por. „Taternika" z 1932 r., str. 104], droga Solledera na pn.-żach. ścianie Civetta [por. „Taternika" z 1932 r., str. 99], *górna granica:* pd. ściana Schüsselkarspitze [por, „Taternika" z 1932 r., str. 46], pd. ściana Tofana, pd.-wsch. ściana Fleischbank) i wreszcie super - krańcowo trudne (*alleräusserst schwierig*), gdzie autor umieszcza dotychczas tylko trzy drogi: pn. ścianą Dachlu (por. „Taternika" z 1932 r., str. 20) pn. filarem (środkiem pn. ściany) Einseru (por. „Taternika" z 1932 r., str. 32) i pd. filarem Marmolaty (por. „Taternika" z 1932 r., str. 101).

„Skala Poppingera", druga już w ostatnich latach po „skali Welzenbacha", napewno nie będzie ostatnia. Talmudyczne wysiłki Niemców wprowadzenia jakiegoś bezwzględnie zgodnego z rzeczywistością miernika wspinaczek skalnych — rozbiją się chociażby o a - maszynowość nerwów turysty.

Interesująca wystawa. W ciągu kwietnia b. r. była w Krakowie otwarta „Naukowa wystawa fotografij geograficznych i krajoznawczych", będąca w istocie pięknym pokazem przedewszystkiem zdjęć wysokogórskich V. Selli i W Goetla. Sella — fotoreporter wypraw Księcia Abruzzów — jest znany jako najznakomitszy może fotograf górski — zdjęcia prof. Goetla z Islandji i z Afryki nie ustępują im ani tematem ani wykonaniem technicznem. Z pozostałych eksponatów wyróżniły się piękne zdjęcia F. Larischa, znanego turysty zakopiańskiego.

Wieczór ku czci Księcia Abruzzów zorganizowało w Krakowie kilka lokalnych towarzystw w dniu 24 maja b. r. Na wieczorze przemówił konsul włoski w Krakowie, główną prelekcję — p. t. „Ludwik ks. Abruzzów jako podróżnik i eksplorator" — wygłosił prof. dr. B. Zaborski.

25-lecie AZS krakowskiego obchodzono w Krakowie, w dniach 18—19 czerwca b. r. W łonie tej ogólno-sportowej organizacji powstała również, jak wiadomo, Sekcja Taternicka, której danem było odegrać niezmiernie ważną rolę w powojennych dziejach taternictwa. Na jubileuszu nie zapomniano podkreślić specjalnie tych zasług.

TREŚĆ:

Wydawca: Sekcja Turystyczna P. T. T. Redaktor naczelny i odpowiedzialny: J. A. Szczepański.

Kraków. — Drukarnia „Powściągliwość i Praca".